

MARY LYNN BAXTER



Nie bój się ryzyka

PROLOG

Pot spływał mu po twarzy, lecz Drew zdawał się tego nie zauważać, dopóki nie poczuł jego smaku. Skrzywił się i ręką podkoszulka wytarł usta. Nagle znieruchomiał i utkwiał wzrok w gazecie.

„Drew MacMillan, najlepsza partia w Houston, znowu skreślony. Zaręczyny numer dwa zostały zerwane przez narzeczoną. Czyżby potentat samochodowy i kierowca wyścigowy nie był jednak stu-procentowym mężczyzną...?”

- Cholera -mruknął Drew pod nosem i nachmurzył się. Plotkarskie szmatławce. Należałoby je zamknąć, pomyślał. Ktoś powinien powystrzelać tych pismaków.

A mimo to, podobnie jak dziesiątki innych ludzi w niedzielny poranek, on też je czytywał.

Drew obudził się około siódmej i uznał, że bluznierstwem byłoby nie wykorzystać tego wiosennego poranka na jogging. Kwiecień rzadko bywał taki pogodny i chociaż normalnie nigdy nie biegał w niedziele, dzisiaj zrobił wyjątek.

Upajał się kilkukilometrowym biegiem, zwłaszcza że derenie i glicynie były już w pełnym rozkwicie. Potrafił dostrzec wartość rzeczy niewymiernych w życiu tylko wtedy, kiedy biegał; zazwyczaj był tak bardzo zajęty, że nie dostrzegał piękna natury.

Choć ociekał potem, czuł się zupełnie zrelaksowany, gdy bocznymi drzwiami wchodził do swojego domu w południowozachodniej części Houston. Ciągle myślał o spotkaniu, jakie miał odbyć jeszcze tego dnia ze swym

asystentem w sprawie ważnego kontraktu. Wziął szybko prysznic, włożył bawełniany podkoszulek i spodenki gimnastyczne, po czym zrobił sobie filiżankę kawy.

Usiadł w kuchni przy stole i rozłożył gazetę. Nie zamierzał czytać kroniki towarzyskiej, coś jednak kazało mu rzucić na nią okiem, może przecucie. Gdy zauważył w niej swoje nazwisko, zastygł na chwilę, jakby porażony prądem.

Teraz, przeczytawszy ponownie te obraźliwe słowa, Drew odsunął się od stołu, chwycił stronę z artykułem, zmiażdżył ją w twardą kulę i cisnął do kosza na śmieci. Przede wszystkim to nie narzeczona zerwała zaręczyny, ale on.

Wypił łyk letniej już kawy. Gdy do kuchennych drzwi ktoś zapukał, znowu wymamrotał coś nieprzyjemnego pod nosem.

Drzwi otworzyły się, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, i do środka wszedł Skip Howard, jego asystent. Ujrawszy twarz szefa, uśmiechnął się szeroko.

- Co jesteś taki zły? Wyglądasz, jakbyś ugryzł jabłko i natrafił na robaka.

- Bardzo śmieszne. - Drew zmarszczył brwi.

- Nie zamierzałem cię urazić.

- Masz rację. Było dokładnie tak jak mówisz: ugryzłem jabłko i nadziałem się na robaka.

- Mógłbyś wyrażać się jaśniej? - roześmiał się Skip.

Skip, ten pierwszorzędny zastępca, był także dobrym przyjacielem. Drew szanował go i podziwiał za uczciwość i lojalność. Ale gdy patrzył na niego, nasuwało się na myśl słowo „zwyczajny” lub „nieokreślony”. Wszystko w nim było przeciętne. Miał przeciętny wzrost, przeciętną wagę i przeciętną twarz. Jego farbowane ciemnokasztanowe włosy i oczy o ciężkich powiekach też wyglądały na zwyczajne. Wystarczyło jednak krótko z nim pobyc, by zdać sobie sprawę, że nie ma nawet cienia przeciętności

w jego umyśle i ostrym, niekiedy złośliwym dowcipie. Kiedy Skip mówił, Drew zawsze słuchał z uwagą.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie.

Drew wskazał na kosz na śmieci. Skip podszedł do niego i zajrzał do środka.

- Nic nie widzę, chyba że masz na myśli ten wzgardzony kawałek papieru.

Drew zaśmiał się gorzko, Skip zaś wzruszywszy ramionami pochylił się nad koszem i wyjął gazetę. Gdy zaczął czytać, Drew nalał mu kawy; był jednak zbyt zdenerwowany, by też usiąść przy stole, oparł się więc o szafkę i patrząc spode łba, czekał na reakcję przyjaciela.

Wreszcie Skip podniósł wzrok i szeroki uśmiech jeszcze raz pojawił się na jego twarzy.

- Co, u diabła, wydaje ci się takie śmieszne?

Uśmiech zniknął z twarzy Skipa.

- Nic. Bawi mnie to, że jesteś taki rozdrażniony.

- A ty byś nie był?

- Pewnie tak. Ona nie przebiera w środkach, co?

- Myślisz, że miałem powody, żeby starać się o jej rękę?

Skip sięgnął po swoją filiżankę, nie odrywając oczu od Drew.

- Dlaczego nie wyjaśnisz sprawy, nie podejmiesz walki? Rozgłoś dobrze zrobi i tobie, i firmie.

- Sam wiesz, że to niedorzeczne. Ta niewybredna historia dotyczy mnie osobiście, i nie chcę, do diabła, żeby jej się udało.

- Kiedy jest się osobą publiczną, zawsze należy się spodziewać czegoś takiego - powiedział Skip wzruszywszy znowu ramionami.

Drew nie mógł zaprzeczyć. Dzięki ciężkiej pracy jego dwa salony sprzedaży jaguarów w Teksasie i jeden w Luizjanie przeżywały rozkwit. Sukces umożliwił mu robienie tego, czego naprawdę chciał,

czyli zajęcie się samochodami wyścigowymi. Zwycięstwa na torze w połączeniu ze sławą ulubienca kobiet uczyniły z niego bohatera bulwarowej prasy.

- Czyli uważasz, że powinienem dać spokój, tak?

Skip wyciągnął nogi przed siebie i skrzyżował ramiona na piersi.

- Jasne.

Drew przeciągnął palcami po swych jasnych włosach.

- A jeśli mimo to sprawa nie ucichnie? Jeżeli ona pomyśli, że może mnie atakować, kiedy tylko zechce, zupełnie bezkarnie?

- Jeżeli tak się stanie, będziesz musiał coś zrobić. Ale na razie radziłbym ci zignorować całą sprawę i przekonać się, czy zainteresowanie nią nie umrze śmiercią naturalną.

Drew wiedział, że Skip ma rację. Pomimo to irytowało go, że ma siedzieć cicho i darować dziennikarzowi słowa, które równoznaczne były z oszczerstwem. Może jednak się myli, może niepotrzebnie robi z igły widły? Sam przecież wie najlepiej, jak łatwo wyprowadzić go z równowagi. Ale nieuczciwość zawsze doprowadzała go do pasji. A ten gazetowy plotkarz z całą pewnością nie był uczciwy, ponieważ podawał do wiadomości informacje, nie sprawdzwszy ich wiarygodności.

- Mam wrażenie, że nie jesteś w nastroju do rozmowy o interesach?

- Rzeczywiście, ale nie mam wyboru. Nie możemy pozwolić, żeby ci z Blackwell Realty czekali jeszcze dłużej. Jeśli nie damy im odpowiedzi w najbliższym czasie, przegramy.

Skip sięgnął po swoją teczkę.

- To dobra transakcja, Drew, pomimo ceny.

- Nie wiem. - Drew pochylił się nad papierami, które Skip rozłożył na stole. - A co będzie, jeśli zdecydujemy się nie otwierać jeszcze jednego punktu

sprzedaży w Teksasie? Z całą pewnością nie chciałbym brać sobie kłopotu na głowę.

- Ale...

Zadzwoił telefon. Drew podszedł do kredensu i podniósł słuchawkę. Po chwili jego twarz stała się kredowoblada.

- Co się stało? - spytał Skip.

- Chodzi o Johna, mojego ojca. - Drew wykrzywił twarz wieszając słuchawkę.

- Jakies złe wieści?

- Miał atak.

- Przykro mi.

- Mnie też - powiedział Drew martwym głosem.

- Nie przejmuj się tą transakcją. - Skip zaczął zbierać papiery. - Jeśli ci z Blackwell nie chcą poczekać na odpowiedź, to niech się wynoszą do wszystkich diabłów. - Przerwał na chwilę. - Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję.

- Odezwę się - powiedział Skip podchodząc do drzwi.

- W porządku.

- Na pewno dobrze się czujesz?

Drew skinął głową.

Wyglądało na to, że Skip był innego zdania, lecz nic już nie powiedział. Otworzył drzwi i wyszedł.

Drew stał nieruchomo z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Nie miał ochoty jechać do domu. Niepokoił się chorobą ojca, ale między nimi nie było miłości. On pierwszy gotów był to przyznać, a ojciec jako drugi. Ale nie zmieniało to faktu, że mimo wszystko musi pojechać do MacMillan w Teksasie. Pomyślał o matce. Ją bardzo kochał.

Ciężkim krokiem skierował się ku sypialni, żeby spakować walizkę.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, to uważam, że on się z tego nie wykręci. - Nie zważając na przerażającą ciszę w salonie kosmetycznym i stłumione chichoty, Hazel Minshew mówiła dalej. - Och, jak się nazywa to słowo? - Ściągnęła usta i trzepnęła dłonią, doskonale zdając sobie sprawę, że stanowi centrum zainteresowania; czuła się jak ryba w wodzie. - Już wiem: impotent.

Ann Sinclair usiłowała opanować falę wzburzenia, jaka ją ogarnęła, lecz nie zdołała. Jej dłoń trzęsła się do tego stopnia, że pomazała lakierem gruby palec Jewell Thornton.

- Ojej! - krzyknęła przerażona Jewell.

Ann spaśnowiała, gdy ujrzała plamy czerwonego lakieru pokrywające wszystkie palce Jewell. Przez chwilę nie mogła się ruszyć, tak była zdenerwowana.

Pauline Sims, również czekająca w kolejce na manikiur, roześmiała się głośno.

- Ann, na Boga, jeszcze nigdy nie widziałam cię tak wzburzonej.

Nim Ann zdążyła odpowiedzieć, Sophie Renfro, jej pracownica i przyjaciółka, powiedziała:

- Pauline, daj już spokój. Wiesz przecież, co Ann myśli o plotkach, a zwłaszcza o takich.

Ann rzuciła Sophie pełne wdzięczności spojrzenie, zanurzając dwie bawełniane ściereczki w zmywaczu do paznokci. Gdy nazwisko MacMillana padło po raz pierwszy, od razu wycofała się z rozmowy. Rzeczywiście, brzydziła się plotkami i zawsze starała

się dociec prawdy. Ale nie w każdym przypadku było to możliwe.

- To najbardziej bzdurna historia, jaką kiedykolwiek słyszałam - dodała Pauline. - Trudno mi sobie wyobrazić Drew MacMillana jako niezdolnego do tego, by dać się kobiecie we znaki.

Ann doskonale wiedziała, że salony piękności i gabinety kosmetyczne stanowią wylegarnię plotek. Gdy kilka lat temu otwierała swój zakład, postanowiła, że będzie inny. W przeważającej mierze rzeczywiście różnił się od pozostałych. Może jeśli dalej uparcie będzie ignorować paplaninę tych kobiet, przerywając wreszcie dyskusję nad seksualnym życiem Drew.

- W tym coś musi być - powiedziała Hazel, wymachując w powietrzu gazetą. - No bo z jakiego innego powodu nie potrafiłby utrzymać przy sobie żadnej kobiety?

- Ach, Hazel, bądź, do diabła, realistką! - Pauline zatrzepotała rękami. - Myślę, że jest akurat odwrotnie. Mogę się założyć, że jest lubieżny jak wszyscy diabli.

- Wystarczy, moje panie - odezwała się Ann. - Nagadałyście się i nabawiły. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, to wydaje mi się, że dość już tego grzebania w jego życiorysie. A tak na marginesie, wiecie przecież, że te informacje w gazetach nie są warte papieru, na którym są drukowane. To zwykłe plotki, i nic więcej. Poza tym, nie życzę sobie dyskusji na temat Drew MacMillana w moim salonie.

Choć mówiła tak jak zawsze, łagodnym i stonowanym głosem, to była w nim jednak nuta żelaznej stanowczości, usłyszana przez wszystkie kobiety. Kiedy oczy Ann ciemniały, oznaczało to, że mówiła serio.

O wiele chętniej porozmawiałaaby o swoim własnym sukcesie niż o rodzinie MacMillanów. Rozejrzała się po gabinecie i uśmiechnęła do siebie. Ciężko pracowała

na powodzenie, jakim się teraz cieszyła; była jedyną licencjonowaną manikiurzystką w mieście. To rzeczywiście niesłychane. Gdy wpadła na ten pomysł, przeciwnicy wyrazili swe zdanie głośno i jasno.

- Ty chyba zwariowałaś. MacMillan nie jest aż tak wielkie, żeby warto było podejmować takie ryzyko.

- Spłuczesz się do ostatniego grosza, kobieto, co do tego nie ma wątpliwości.

Ann jednak zignorowała te i podobne komentarze, zdecydowana zrealizować swe przedsięwzięcie.

Teksańskie MacMillan było dzięki rodowi MacMillanów dobrze prosperującym miasteczkiem liczącym mniej więcej pięć tysięcy mieszkańców. Nosilo nazwę przyjętą od rodowego nazwiska MacMillanów, gdyż większość ziemi w okolicy znajdowała się w posiadaniu tej rodziny. Wielki tartak, kilka sklepów i lokalna gazeta zaspokajały potrzeby miejscowej społeczności. Interesy te doprowadziły MacMillan do rozkwitu.

Ann jednak długo musiała czekać na powodzenie. Najpierw przyszło jej pokonać ogromne przeszkody, z których największą stanowiło jej pochodzenie. Została bowiem wychowana w domu, który nie obfitował w pieniądze, ale był bogaty w miłość.

Ale to ostatnie nie wystarczało jej bratu, Peterowi, który wstydził się, że jego rodzice byli zatrudnieni u MacMillanów. Alice Sinclair pracowała jako służąca, podczas gdy Burton był ogrodnikiem i majstrem do wszystkiego. Mimo to Peter i Drew byli najlepszymi przyjaciółmi. Ann, o dwa lata starsza, zazdrościła bratu. Uważała Drew za najprzystojniejszego chłopaka, jakiego kiedykolwiek widziała, i podkochiwała się w nim po cichu. On jednak dostrzegał w niej jedynie starszą siostrę Petera.

Mimo cierpienia i bólu, jakich MacMillanowie przysporzyli potem jej rodzinie, Ann nie żywiła urazy.

No, może nieznaczną do Johna MacMillana. Rzeczywiście wydawało jej się, że jemu chyba nigdy nie wybaczy. Drew jednak to zupełnie co innego.

Ann zastanawiała się czasami, czy przypadkiem nie przeniosła tej młodzieńczej miłości w swe dorosłe życie, ale już po chwili odrzucała tę myśl jako śmieszłą i absurdalną.

- Masz oczywiście rację, Ann - powiedziała Pauline, przerywając długą ciszę. - Powinniśmy się wstydzić, zwłaszcza że John leży chory w szpitalu.

Zaczęły się zastanawiać, jakie zmiany nastąpiłyby w mieście i ich bycie, gdyby coś stało się z Johnem MacMillanem. I znowu zapadła cisza.

- Nigdy bym nie pomyślała, że moje paznokcie mogą wyglądać tak pięknie - powiedziała Jewell, spoglądając ostrożnie na Ann, jakby starała się odczytać, co też może kryć się za tą powściągliwą, ale ciepłą maską.

Przez cały czas Ann była bardzo roztargniona; zupełnie automatycznie położyła Jewell drugą warstwę lakieru, a potem jeszcze jedną. Teraz smarowała jej palce olejkim, żeby umocnić lakier i zwilżyć naskórek.

- Cieszę się, że jesteś zadowolona - uśmiechnęła się. - Wiem, że nie lubisz tego słuchać, ale w przyszłym tygodniu będę musiała ci je obciąć albo musisz pogodzić się z tym, że zaczną ci się łamać.

- Jeśli stracę choćby jeden przed tańcami w klubie, to chyba umrę - odparła Jewell wykrzywiając usta.

Ann wiedziała, że jeśli spojrzy na Sophie, to wybuchnie śmiechem. Zachowanie powagi nie było rzeczą łatwą, zwłaszcza że Hazel wtrąciła zjadliwie:

- Niepotrzebnie tak się denerwujesz. Przecież nikt nawet nie zauważy, że złamałaś paznokieć.

- Nie wiem jak wy, ale ja nie mogę już wytrzymać

tych cen w sklepie spożywczym. - Sophie zmieniła temat i dopiero wtedy kobiety się uspokoiły.

- Uf, ale jestem wykończona - powiedziała Sophie godzinę później. Minęła piąta i gabinet był już nieczynny. - Te trzy baby wyprowadzają mnie z równowagi.

Ann zrobiła porządek na swoim stoliku i nalała sobie kawy. Wypiła ze dwa łyki, lecz nie poczuła się podnieśniona na duchu. Skierowała swą uwagę na zewnątrz i stwierdziła, że wiosna i jej uroki rozweselają ją.

- Już myślałam, że nie wytrzymam - zachichotała Sophie - kiedy widziałam, jak smarujesz lakierem całą tłustą łapę Jewell. - Jej chichot przerodził się w gromki śmiech. - Muszę ci powiedzieć, że bardzo mi się to podobało.

Na ustach Ann igrał nieznaczny uśmiech.

- Okropna jesteś, moja droga.

- Wiem.

- Dzięki, że mi pomogłaś.

Jak zawsze zresztą, pomyślała Ann. Nie zasłaby tak daleko, gdyby nie jej pomoc i wsparcie. Sophie pracowała bardzo ciężko, a pod koniec dnia szła do domu do swego trzyletniego syna, którego od początku chowała zupełnie sama, ponieważ mąż odszedł od niej, gdy zaszła w ciążę.

Ann jednak była przekonana, że jej przyjaciółka już niedługo będzie samotna. Ze swymi płomiennymi włosami, chochlikiem w oczach i figlarnym wyrazem twarzy zawsze znajdzie męskie towarzystwo.

- W żaden sposób nie mogłam usiedzieć i pozwolić im ciosać kołki na głowie temu MacMillanowi. Dlaczego on...

Ann uśmiechnęła się słabo.

- Przepraszam - powiedziała Sophie z dziwnym wyrazem oczu. Po krótkiej pauzie mówiła dalej: -Po-

słuchaj, biorąc pod uwagę to, jak bardzo zbliżyliśmy się do siebie od czasu, kiedy dla ciebie pracuję, mogłabyś już chyba mi zaufać i powiedzieć, o co tak naprawdę chodzi między tobą a MacMillanami?

- To nie jest sympatyczna historia - powiedziała Ann z westchnieniem.

- Mimo to chciałabym ją usłyszeć.

Ann zaczęła powoli:

- Jak wiesz, moi rodzice oboje pracowali dla MacMillanów. A mój brat Peter i Drew byli ze sobą zaprzyjaźnieni. Drew kochał samochody, a ponieważ miał pieniądze, miał też szybkie auto, które uwielbiał.

- Ann przerwała na chwilę i oparła się zmęczona o okienny parapet. - Któregoś wieczoru jechali razem po futbolowym treningu, a jakaś ciężarówka nie zatrzymała się przed znakiem stop.

Sophie, przerażona, głęboko wciągnęła powietrze, Ann zaś mówiła dalej, patrząc przed siebie martwym wzrokiem:

- Drew rąbnął w bok ciężarówkę i chociaż jemu nic się nie stało, Peter został ranny.

- Boże, a to ci pech.

- To jeszcze nie wszystko. Drew nie został obwiniony o jakiegokolwiek wykroczenie, Peter jednak uważał, że to przez niego uszkodził sobie kolano. A to położyło kres jego marzeniu o grze w piłkę.

- Okropność.

- Peter nigdy do końca nie odzyskał zdrowia i do tej pory ma problemy.

- Coś przytrafiło się też twojemu ojcu, prawda? Mówiąc szczerze, muszę przyznać, że na początku, kiedy tu przyszłam, słyszałam jakieś plotki...

Ann podniosła rękę.

- Nie przepraszaaj. Afera Sinclaira przez długi czas

był najgorętszym tematem w mieście. - Nie potrafiła ukryć goryczy, jaka kryła się za tymi słowami.

- A o co poszło? - Sophie nalegała łagodnie.

- Wkrótce po wypadku John oskarżył mojego ojca o kradzież, a potem go wyrzucił. Choć później uznano go za niewinnego, to, co najgorsze, już się stało.

- Ann przełknęła łyżę.

- Posłuchaj, jeśli to dla ciebie zbyt bolesne...

- Niedługo potem mój ojciec... odebrał sobie życie.

W pokoju zapanowała złowieszcza cisza. Sophie przygryzła wargi.

- To straszne, Ann.

- Tak, trochę mnie to kosztowało - powiedziała Ann, ocierając łyżę z policzków. - Ale to wszystko zdarzyło się dawno temu, a jak mawiają starzy ludzie, czas jest najlepszym lekarzem.

- "Posłuchaj, może wpadłybyśmy do Sama i coś razem zjadły? Jesteś taka błada.

Ann uśmiechnęła się słabo.

- Dziękuję, ale może innym razem. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wołałabym pójść do domu, wziąć gorącą kąpiel i położyć się do łóżka.

- Jak wolisz.

- Idź już. Porozmawiamy jutro.

W kwadrans później Ann zamknęła gabinet i skierowała się w stronę domu. Dom. To słowo powinno było poprawić jej samopoczucie, ale tak się nie stało. Jej myśli były zbyt chaotyczne. Rozmowa o przeszłości, o Drew rozstroiła ją o wiele bardziej, niż się spodziewała.

Czy Drew przyjedzie do domu, żeby odwiedzić ojca? Jeśli tak, to czy go spotka?

ROZDZIAŁ DRUGI

Ann otwierała drzwi swego domu z głową pełną kłębiących się myśli. Powoli ogarniał ją upragniony spokój. Uśmiechnęła się.

Nieduży, ale uroczy domek, z salonem i przyległą kuchnią, kominkiem, dwiema sypialniami i dwiema łazienkami, należał do niej. Niezupełnie, poprawiła się w myślach. Znaczna jego część należy jeszcze do towarzystwa hipotecznego. Ann była jednak przekonana, że pewnego dnia dom będzie całowicie należał do niej.

W części mieszkalnej stropy były wysokie i wszędzie znajdowało się dużo okien. Promienie słońca wdierały się przez szyby, powiększając optycznie pokój. Jego przestronność umożliwiało utrzymywanie uporządkowanego rozgardiaszu. Żywe rośliny, półki z książkami, bibeloty i rodzinne zdjęcia były rozproszone po całym pokoju, podobnie jak oprawne w ramki sztychy na ścianach. Stało tam też kilka krzeseł i obita materiałem w kwiaty kanapa.

Atmosfera ciepła skłaniała do snucia dalekich planów. Pewnego dnia ta dodatkowa sypialnia stanie się pokojem dziecka, które Ann zamierzała adoptować. Założyła ręce na ramiona, przycisnęła je do siebie, czując, jak ogarnia ją podniecenie.

Dziecko. Prawdziwa ludzka istota. Jej dziecko. Ciesząc się tą słodką myślą, pospieszyła do sypialni, cisnęła gdzieś torebkę i portfel, a potem zrzuciła z nóg buty. Jej stopy zanurzyły się w miękkim zielonym

dywanie. W ciągu paru minut zamieniła spódnicę i bluzkę na szorty i bawełniany podkoszulek.

Potem poszła do kuchni i wzięła sobie z lodówki mrożoną herbatę. Czekwała na nią masa papierkowej roboty, na razie jednak chciała chwilę posiedzieć i porozkaszować się spokojem i ciszą.

Lubiła swoją pracę i wykonywała ją z przyjemnością, lecz ta ciągła paplanina klientek często działała jej na nerwy. Wprawdzie uważała siebie za osobę towarzyską, ale jakaś jej niewielka częśćka pragnęła niekiedy samotności.

Usiadła na kanapie w salonie. Podkurczyła nogi i właśnie zamierzała napić się herbaty, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Serce podeszło jej do gardła tak jak zawsze, a zwłaszcza gdy była w domu. Spodziewała się telefonu ze stanowej agencji pośredniczącej w adopcji; miesiąc temu złożyła wstępne podanie.

Drżącymi dłońmi podniosła słuchawkę:

- Pani Sinclair?

- Tak.

- Mówi Dorothy Sable z agencji stanowej. Chciałam powiedzieć, że pani podanie zostało umieszczone w bieżącej kartotece.

- Och - powiedziała Ann i poczuła się jak idiotka z powodu swej reakcji.

Dorothy Sable zaśmiała się ciepło.

- Czy to znaczy, że moje nazwisko zostało umieszczone na liście? - spytała Ann zaskakująco zdecydowanym tonem.

- Dokładnie tak. Kolejny krok to spotkanie orientacyjne tutaj, w Austin.

- Cudownie.

- Tak więc następnym razem zadzwonię po to, żeby ustalić datę i godzinę spotkania.

- Dobrze.

- Jakieś pytania? - spytała pani Sable ciągle ciepłym głosem.

- Czy może mi pani powiedzieć, jak długo będę musiała czekać? - spytała Ann.

- Niestety, nie mogę.

- Dziękuję za telefon - powiedziała Ann.

- Skontaktuję się z panią. Do widzenia.

Ann sięgnęła po poduszkę i przycisnęła ją mocno do siebie. Jej serce waliło tak szybko, że myślała, iż straci przytomność.

Czy rzeczywiście tego chciała? Uczucie paniki jeszcze bardziej przyspieszyło bicie serca. Czy naprawdę uświadamia sobie, w co się wdaje? Czy jest przygotowana na wstrząs, jaki oznacza pojawienie się w jej domu dziecka?

Czy jest gotowa dokonać zmian w trybie swego życia, dostosować go do potrzeb małej istoty? Czy potrafi zrezygnować z własnej niezależności?

- Tak, tak, tak! - wyszeptała na głos, ocierając łzy z policzka.

Zrobiła kilka głębokich oddechów i przestrzegła samą siebie przed zbyt dużą egzaltacją. Nie tylko okres oczekiwania był nie określony, lecz także szanse adopcji pozostawały niepewne, mimo pozytywnego przyjęcia jej podania. Adopcje indywidualne oznaczały zawsze żmudną walkę. Z całą pewnością nie patrzono na nie łaskawie, ponieważ popyt na nowo narodzone samotne dzieci dalece przewyższał ich liczbę. Ann dobrze o tym wiedziała. Ponadto musi też pamiętać o spotkaniu orientacyjnym i o domowej wizycie. Obie te rzeczy miały rozstrzygające znaczenie.

Jak by to było, gdyby została matką? Czy opuściłaby się w pracy? Czy brak mężczyzny może spowodować, że wychowa nieprzystosowane dziecko? Jak się to

może przejawić? Ta myśl odbijała się w niej ciągle głuchym echem, była jak rana, która nie chce się goić.

Mimo wszystko wiedziała, że musi spróbować. Dlaczego? Jej życie zmierzało wreszcie we właściwym kierunku. Wiele ją to kosztowało. Ale ona chciała więcej. Chciała mieć kogoś, kogo mogłaby kochać.

Po samobójstwie ojca musiała sama zlepić swe roztrzaskane serce i duszę, kawałek po kawałku. Na niej także spoczywała odpowiedzialność za wydzwignięcie matki. Kiedy możliwe stało się pozostawienie jej samej, wyjechała do Tyler i zapisała się do szkoły menedżerskiej, tylko po to, by stwierdzić, że jej to nie odpowiada.

Jeden z kolegów podpowiedział jej wtedy, żeby spróbowała w szkole kosmetycznej, biorąc pod uwagę fakt, że ciągle a to podcinała, a to układała komuś włosy. Myśl ta spodobała się Ann. Znalazszy się w szkole odkryła, że jeszcze bardziej lubi robić manikiur, bo ma wtedy okazję zamieniać brzydkie dłonie i paznokcie w tak piękne jak jej własne. Ją opatrność obdarzyła wysmukłymi palcami i mocnymi paznokciami, co wywoływało pełne zazdrości komentarze koleżanek.

Po powrocie do MacMillan pracowała jako kosmetyczka i zaczęła marzyć o własnym zakładzie. Nie było to ani realne, ani możliwe, ponieważ matka zachorowała na raka. Opieka nad nią spadła na Ann. Brat niewiele pomógł. Pielęgnowała matkę aż do samej śmierci.

Ann spędzała na pracy długie, wyczerpujące godziny, żeby zappełnić powstałą pustkę, i wkrótce udało jej się zaoszczędzić wystarczająco dużo, by wynająć lokal i otworzyć własny zakład. Gabinet prosperował tak dobrze, że teraz zamierzała go rozbudować w prawdziwy salon piękności: z usługami kosmetycznymi, masażem i specjalistyczną pielęgnacją skóry. Ale pełna

powodzenia praca zawodowa to nie wszystko. Ann czuła się samotna i nie spełniona. Chciała wyjść za mąż. Pragnęła mieć męża, silnego i opiekuńczego mężczyznę, który dzieliłby jej marzenia i nadzieje.

Dlaczego więc nie znalazła kogoś takiego? Choć nie była piękna w ścisłym znaczeniu tego słowa, zdawała sobie sprawę, że nie przegrywa w konkurencji z innymi kobietami. Miała gładką skórę, oczy o fioletowym odcieniu i bujną czuprynę ciemnych włosów.

Jedyny mankament, myślała, stanowiły piersi. Miała smukłą i drobną sylwetkę, ale niezależnie od tego, jak bardzo ograniczała jedzenie, piersi zawsze były odrobinę zbyt bujne.

Może powodem, dla którego nie znalazła właściwego partnera, było to, że nigdy nie pociągał jej przypadkowy, okazjonalny seks. Seks, jej zdaniem, wiązał się nierozdzielnie z głębokim uczuciem. Nigdy zresztą niczego nie robiła połowicznie i dlatego tak często ponosiła porażki. Najbardziej pragnęła oddać się bez reszty mężczyźnie, który podjąłby ryzyko związania się z nią na stałe.

Kiedy była młoda i naiwna, często marzyła o tym, by Drew wyznał jej nieśmiertelną miłość i poprosił ją o rękę. Teraz wydawało jej się to śmieszne.

Fantazja ta miała swe źródło w krótkim spotkaniu pewnego wieczoru, gdy śnieg, absolutna rzadkość w Teksasie, przykrył białym płaszczem ziemię. Z jakiegoś powodu Ann wyszła na dwór i spotkała Drew z Peterem, obrzucających się śnieżkami. Nagle jedna z kul wylądowała na jej prawej skroni. Straciła równowagę i przewróciła się na ziemię.

Obaj chłopcy podbiegli do niej, ale rękę podał jej Drew.

- Przepraszam - powiedział uśmiechając się diabelsko. - Jesteś ranna?

- Nie - odrzekła podając mu rękę.

Zetknięcie ich dłoni spowodowało wzmożone wydzielanie adrenaliny w jej żyłach. Choć starała się zachować odpowiedni dystans, niechcący oparła się o mocne ciało Drew. Przeszył ją prąd. Odsunawszy się, czuła, że każdy nerw jej ciała pała ogniem.

- Przepraszam - wymamrotała.

Drew uśmiechnął się do niej mrużąc lekko oczy.

- Nie ma za co. Cieszę się, że nic ci się nie stało.

W ciągu minionych lat często przypominała sobie tę chwilę. Wtedy bowiem po raz pierwszy uzmysłowiła sobie, że podkochuje się w Drew, i zapragnęła, żeby zamiast Peterem zainteresował się nią.

To jednak nigdy się nie stało i jej głupie, dziewczęce nadzieje zmarły śmiercią naturalną.

Obawiała się, że mężczyzna jej marzeń nie istnieje. Dlatego właśnie sprawę dziecka wzięła we własne ręce. Miała trzydzieści jeden lat, jej biologiczny zegar ciągle posuwał się do przodu. Czuła, że musi walczyć z czasem.

Dziecko. Była tak przyjemnie pochłonięta tą cudowną myślą, że nie usłyszała dzwonka do drzwi. Teraz był już tak natarczywy, że nie mogła go nie słyszeć.

- Już idę! - zawołała. Przebiegła przez pokój i otworzyła szeroko drzwi.

- Gdzie ty się podziewasz? - powiedziała Sophie bez wstępów.

- Gratulowałam samej sobie. - Ann uśmiechnęła się.

- Ojej? Czy stało się coś, o czym powinnam wiedzieć? - Sophie wyminęła Ann i weszła do salonu.

- No, powiedz mi. Nie trzymaj mnie w napięciu.

- Miałam telefon z agencji.

- To wspaniale! - Oczy Sophie rozgorzały.

Obie się roześmiały, potem padły sobie w objęcia.

Wreszcie uspokoiły się.

- Co pijesz? - spytała Sophie.

- Och, przepraszam. Ale mam maniery. To jest herbata. Masz ochotę?

- Po takim dniu może przydałyby się ze dwie szklaneczki, po jednej w każdej ręce, ochrzczone kropelką bourbona?

- Siadaj. Zaraz wracam - powiedziała Ann chichocząc.

W pięć minut później siedziały w przeciwległych końcach kanapy, zwrócone ku sobie.

- Co jeszcze powiedziała ta kobieta? - spytała Sophie.

Ann pochylała się i postawiła pustą szklanę na stoliku, po czym wyjaśniła.

- Czyli dziecko nie będzie tak od razu.

- Może za rok albo dwa - westchnęła ciężko Ann.

- To cholernie długo.

- Wiem, ale takie są zasady, zwłaszcza w przypadku osób samotnych.

- To brzmi tak, jakby chcieli to w ogóle uniemożliwić.

- Prawie, ale nie do końca. - Ann roześmiała się.

- Nie zapominaj, że jestem na liście.

- Skoro tak mówisz - odrzekła z uśmiechem Sophie.

- Powiedz, co cię do mnie sprowadza? Oczywiście jesteś zawsze mile widziana - dodała pospiesznie Ann - ale...

- Słusznie. Wpadłam nie bez powodu. - Twarz Sophie spoważniała. - Ty o niczym nie wiesz, tak?

- Co masz na myśli?

- John MacMillan nie żyje.

- Och nie!

- Usłyszałam w wiadomościach o szóstej, ale widzę, że nie włączyłaś jeszcze telewizora.

- Nie, nie włączyłam.

- Wiem, że to dla ciebie ważna informacja - powiedziała Sophie, po czym opróżniła szklankę i wstała.

Nie mówiąc ani słowa, Ann podniosła się również. Kiedy dowiedziała się, że John MacMillan miał zagrażający życiu atak, nie była w stanie zdobyć się na wiele współczucia. Zawsze myślała o nim jako zimnym, milczącym człowieku, który zraził do siebie całą swą rodzinę, a najbardziej własnego syna.

Teraz, kiedy usłyszała, że zmarł, doznała mieszanych uczuć. Z jednej strony odczuła smutek, z drugiej zaś satysfakcję, że sprawiedliwości stało się zadość. Doskonale wiedziała, że nie powinno się myśleć źle o zmarłym, lecz bezwzględne postępowanie Johna MacMillana pozostawiło w jej sercu głębokie rany.

- Miasto przeżyje kryzys - skomentowała Sophie.

- Na pewno. - Ann czuła się oszołomiona i potarła czoło dłonią. John MacMillan nie żył. Wydawało się to niemożliwe. Jego osoba wywierała wielki wpływ na miasteczko, teraz nie będzie ono już takie samo.

- Pójdiesz jutro na pogrzeb? - spytała Sophie.

Ann przyjrzała się Sophie uważnie.

- Jeśli pójdę, to na pewno nie z szacunku dla Johna.

- To zrozumiałe.

- Ale pani MacMillan była miła i uczynna dla mojej matki. Czuję, że względu na nią powinnam mimo wszystko pójść.

- A co z Drew?

- A co ma być?

Sophie wzruszyła ramionami.

- Wy dwoje zawsze byliście razem, czyż nie?

- Dlaczego każdy, włącznie z tobą, zawsze patrzy na mnie, kiedy jest mowa o Drew? - Ann powiedziała to głosem ostrzejszym niż zamierzała, i nagle pożałowała tego wybuchu.

Sophie podniosła ręce, a jej usta wyraźnie drżały, jakby chciały się uśmiechnąć.

- Nie miałam nic specjalnego na myśli. Naprawdę. To dlatego, że zawsze kiedy pada jego nazwisko, ty wyglądasz na spiętą i masz dziwny wyraz twarzy.

- Już dobrze, dobrze. Możliwe. Kiedyś miałam taką wizję, że oboje, wirując razem w rytm walca, wpływamy w światło słońca, a potem żyjemy długo i szczęśliwie.

Sophie roześmiała się serdecznie.

- To brzmi nieźle.

- No cóż, sny mają to do siebie, że się nie spełniają. Poza tym już pozbierałam się po ciosie, nie musisz się więc przejmować.

- Wierzę ci. - Sophie zmierzała w stronę drzwi.

- Jeśli chcesz, mogę pójść z tobą na ten pogrzeb.

- Dobrze. Czyli do jutra.

Ann przekręciła klucz w zamku, po czym oparła się o drzwi i westchnęła głęboko. Jeśli Drew nie przyjechał jeszcze do MacMillan, to na pewno pojawi się teraz. Była pewna, że go spotka.

No i co z tego? To nic nie zmieni, ani w jedną, ani w drugą stronę. Ona już się przecież z nim uporała.

Chociaż wiedziała, że nigdy nie będzie mogła mieć Drew ani innego mężczyzny podobnego do niego, mimo to jej życie mogło być pełne i szczęśliwe. Dziecko nada mu sens i cel.

Po raz pierwszy od długiego czasu myśl ta nie podniosła jej na duchu.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Brak Johna MacMillana odczuują i młodzi, i starzy... - Pastor monotonnym głosem wyliczał zasługi najznakomitszego obywatela miasta. Ann jednak nie była w stanie słuchać go dłużej. Zamknęła oczy i wyteżyła całą wolę, by skupić myśli na czym innym.

Ona i Sophie stały na zewnątrz, ponieważ największy kościół baptystów w mieście nie pomieścił uczestników uroczystości. Jednak dzięki głośnikom wszyscy mogli słuchać żałobnej mszy.

Ann wolałaby uczestniczyć tylko w samej ceremonii pogrzebowej na cmentarzu poza miastem. Stojąc przed kościołem nie odrywała oczu od trzmiela, który krążył nieustannie nad ogromnym krzewem kwitnącej glicynii. Ann wciągnęła głęboko jej słodką woń.

Pogoda była piękna, ani jedna chmura nie kryła nieba. Trzmiel odleciał i do Ann znowu dobiegł głos pastora. Czuli się jak oszustka, stwierdziła jednak, że powinna wziąć udział w pogrzebie z szacunku dla Janet MacMillan.

Ponieważ przyjechały tuż przed rozpoczęciem mszy, nie widziały rodziny. Mimo to Ann wiedziała, że Drew na pewno jest blisko matki. Janet MacMillan też była słabego zdrowia.

Podczas gdy pastor dalej wyliczał zasługi zmarłego, myśli Ann skupiły się na Drew. Co on może odczuwać w tej chwili, zastanawiała się. Smutek? Zawód? Chyba wszystko jednocześnie, uznana, wiedząc o ciągłej wojnie między ojcem a synem.

Tylko dzięki temu, że Sophie trąciła ją łokciem, spostrzegła, iż wszyscy opuścili głowy, a pastor zaczął odmawiać modlitwę. Ann także pochyliła głowę i mocno zacisnęła powieki. Prosiła o wybaczenie za swe niespokojne i chaotyczne myśli. Ale przecież nie czuła się winna. John MacMillan był tyranem i nikt nie zdołałby zmienić jej zdania o nim.

Doznała ogromnej ulgi, słysząc wreszcie „Amen” pastora. Zgromadzeni rozproszyli się natychmiast, poza najbliższymi przyjaciółmi i rodziną. Ann chciała zamienić słowo z Janet MacMillan, lecz nie zdobyła się na to. Zresztą nie była pewna, jak by ją przyjęto. Dla nikogo nie było tajemnicą, co myślała o Johnie.

- Chcesz porozmawiać z kimś z rodziny? - cicho spytała Sophie. - Poczekam na ciebie w samochodzie.

- Nie, nie, raczej nie. - Ann bawiła się kosmykiem włosów. - Może w przyszłym tygodniu wpadnę na chwilę do pani MacMillan.

- O, widzę Maxine - powiedziała Sophie odwracając się. - Muszę z nią chwilę porozmawiać. Zaraz wracam.

Ann skinęła głową i skierowała się w stronę samochodu, zaparkowanego dosyć daleko od kościoła. Pod wpływem jakiegoś impulsu odwróciła głowę i ujrzała Drew. Stał w odretwieniu, oparty o drzewo. Janet była otoczona przyjaciółmi. Nawet z odległości wielu metrów mogła dostrzec zmiany, jakie czas wyrzył na jego twarzy. Wyglądał na więcej niż dwadzieścia dziewięć lat, nadal jednak był przystojny, może nawet jeszcze przystojniejszy. Przybrał trochę na wadze, co raczej korzystnie wpłynęło na jego wysoką sylwetkę. Inna wyraźna zmiana to kolor włosów. Wskutek siwienia zdawały się w nich dominować jasne pasma. Ciemna opalenizna w połączeniu z niebieskim kolorem garnituru, harmonizującym z kolorem jego oczu,

podkreślały cechy supermężczyzny, który z równą łatwością łamie kobiece serca, jak i męskie szczęki.

Z niesmakiem stwierdziła, że jej ciało zareagowało na jego widok. Miała do siebie pretensję za tę słabość. Młodzieńcze zadurzenie to jedno, ale obecna reakcja była całkowicie nie do przyjęcia.

Drew, jakby czując, że jest obserwowany, odwrócił głowę. Ich oczy spotkały się. Ann była przekonana, że jej nie poznał.

Poczuła szybsze bicie serca, gdy ujrzała, jak prostuje się i zaczyna iść w jej kierunku. Nadal na siebie spoglądali i Ann doznała podobnego wstrząsu, jak w ów zimowy dzień wiele lat temu, kiedy Drew podniósł ją z ziemi.

- Ann? Ann Sinclair? To ty?

Co za upokorzenie! Jak on mógł jej nie poznać?! Czy aż tak się zmieniła? Niemożliwe. Świadczyło to tylko o tym, jak niewiele dla niego znaczyła.

Przelknąwszy gwałtownie ślinę powiedziała:

- Jak się masz, Drew. - Doznała ulgi słysząc, że jej głos brzmiał normalnie, choć cała trzęsa się w środku.

Nie wyciągnął do niej ręki. Była mu za to wdzięczna. Przeczucie ostrzegало ją, że nie powinna go dotykać... Jego twarz była poważna, z wyraźnie zaznaczonymi zmarszczkami. Ale te iskierki w oczach, które tak dobrze pamiętała, nie zniknęły...

- Kopę lat - powiedział Drew, przechylając głowę i wpatrując się w Ann.

- Owszem.

- Jak się miewasz?

- Dziękuję. A ty?

- Do dzisiaj też nie najgorzej.

W jego głosie smutek mieszał się z gniewem; przez cały czas nie odrywał od niej oczu i Ann czuła

zalewającą ją falę gorąca. Wieczór był ciepły, lecz żar w jej wnętrzu nie miał nic wspólnego z pogodą.

- Jak się miewa twoja matka? - spytała z zakłopotaniem, niezdolna do wyrażenia słowami współczucia z powodu śmierci ojca Drew.

- Trzyma się wyjątkowo dzielnie, ale ten szok na pewno nadwerżył jej serce.

- To niezwykła kobieta - powiedziała Ann.

- Co u Petera?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - Ann uniosła głowę.

- To chyba naturalne.

- Wybacz, nie chciałam być niegrzeczna.

- Owszem, chciałam.

Zrezygnowała z ostrej riposty, widząc uśmiech w kącikach jego ust.

- Tak, to prawda - przyznała.

Nie potrafiła pojąć tego napięcia, które trwało między nimi. Może winna była niedobra przeszłość? Bardziej jednak prawdopodobne, że była to reakcja na niespodziewane spotkanie.

- Powiniennem wrócić do matki - powiedział Drew.

- Oczywiście. - Zamilkła na chwilę. - Słuchaj, jeśli chodzi o Johna...

- Wierz mi, doskonale cię rozumiem. Po tym, co wyrządził twojej rodzinie...

Ann skinęła głową, czując ucisk w gardle.

- Może jeszcze się spotkamy - rzekł na ostatek.

- Może.

Popatrzył na nią nieco dłużej, potem odwrócił się na pięcie i odszedł.

- Chyba nie odjeżdżasz już dzisiaj, prawda?

Drew ogarnęły wyrzuty sumienia, pochylił się i mocno ścisnął zimną, słabą dłoń matki.

- Przecież wiesz dobrze, mamó. - Jego głos był

łagodny. - Nawet gdybym musiał zająć się interesami, i tak bym cię nie zostawił.

Janet MacMillan podniosła na syna łzawe spojrzenie - jej oczy miały ten sam kolor co jego - i uśmiechnęła się. Przed pierwszym zawałem była dzielna, silną kobietą. Wprawdzie nie straciła nic ze swego uroku, miała śnieżnobiałe włosy i cerę niemal bez zmarszczek, ale utraciła siły. Drew bardzo się o nią niepokoił.

- Wiem przecież, że masz swoje własne życie i...
- przerwała, jej usta drżały.
- Cicho, mamó. O wszystkim pomyślałem. Nigdzie nie wyjeżdżam, najwyżej do biura taty.

Niestety matka umiała doskonale czytać w jego myślach. Wiedziała, że nigdy nie zamierzał zostać w MacMillan. Jednak znalazł się w pułapce, bo nawet jeśli ona go naprawdę nie potrzebowała, to niezbędny był w MacMillan Investments.

- Drew... - zaczęła łagodnie z zakłopotaniem w oczach.
- Tss, odpocznij teraz. Porozmawiamy potem.

Rozmowa ta odbyła się, gdy liczni i życzliwi im przyjaciele domu, złożywszy wyrazy współczucia, odeszli.

Teraz, zamiast pójść od razu do biura, jak wcześniej planował, Drew stał przy grobie ojca i spoglądał na kwiaty, które okrywały świeżą mogiłę. Tak bardzo pragnął poczuć coś innego niż ta głucha pustka w środku. Chciał płakać, lecz łzy nie pojawiały się. Coś go dławilo. Przyjechał do domu dzień przed śmiercią ojca. John był w stanie śpiączki i nawet nie zdawał sobie sprawy z jego obecności.

Stał nad grobem żałując, że nie zbliżył się do tego mężczyzny, którego życie było już zamkniętym roz-

działem. Nikt jednak nie dostał tego zaszczytu, nawet jego matka.

John brał, lecz nigdy nie dawał. Wobec Drew był najbardziej nieprzejednany. Nigdy nie potrafił zaakceptować beztroskiej natury swego syna, jego zuchwałości i skłonności do ryzyka.

Kiedy Drew był jeszcze dzieckiem, jego ulubionymi zabawkami były samochody. I to się nie zmieniło. Ale to, co Johna najbardziej rozwścieczało, to brak zainteresowania syna dla rodzinnych interesów. W dniu swego wyjazdu do college'u Drew oznajmił ojcu, że nic nie obchodzi go jego firma. Pokłócili się wtedy i odtąd prawie ze sobą nie rozmawiali.

- Teraz już za późno, tato - wyszeptał Drew.

- Zawsze chciałem, żebyś mnie kochał. Tylko że ty nigdy mnie nie kochałeś, prawda?

Jeszcze przez chwilę patrzył na grób, potem zachmurzył się, odwrócił i poszedł do samochodu.

Na głównej ulicy MacMillan jego nastrój nieco się poprawił. Odezwały się w nim wspomnienia, i dobre, i złe, zwłaszcza z czasów, gdy on i Peter mieli zwyczaj waleśać się po Main Street, bo ojca nie było w mieście. Stary szeryf Becker był zbyt tchórzliwy, żeby powiedzieć o tym starszemu panu. Wspomnienie Petera przywiodło mu na myśl jego siostrę. Nie mógł wprost uwierzyć, że Ann Sinclair, którą widział dzisiaj, to ta sama Ann z dawnych czasów. Zmiana graniczyła wręcz z cudem. Przeobraziła się w atrakcyjną kobietę. Kiedy do niej poszedł, zaniemówił z wrażenia. Kiedyś była chuda i bezkształtna, teraz smukła i zgrabna, wyglądała jak modelka.

Ale jej wspaniały wygląd to nie było wszystko. Coś innego uderzyło go jeszcze bardziej. Może ta bezpretensjonalność i świeżość? Wydawała się nieświadoma wrażenia, jakie wywierała na mężczyznach.

Zastanowił się przez chwilę, co mogła robić w Mac-Millan? Czy wyszła za mąż? Zaklął pod nosem uświadamiając sobie, gdzie zablądziły jego myśli. Co mu się stało? Przecież nie zamierzał już nigdy angażować się poważnie w znajomość z jakąkolwiek kobietą.

Marzył o tym, żeby mieć wolny czas i spędzać go na torze wyścigowym. Chciał zakwalifikować się kiedyś do Indy 500. Potrzeba współzawodnictwa przyćmiewała całkowicie potrzebę stałego związku z kobietą. Poza tym doświadczył już, ile bólu może przynieść miłość. Nauczył się tego od ojca i postanowił trzymać się od tego jak najdalej.

Po prostu nie był w stanie oddać się kobiecie. Czas, poświęcenie, miłość - tego chcieli wszystkie. Nie wiedział, skąd mu to przyszło do głowy, jednak instynktownie wyczuwał, że Ann Sinclair z całą pewnością żądałaby wszystkich tych rzeczy naraz. I jeszcze więcej.

Natrętny głos jakiegoś ptaka znowu skierował myśli Drew na grób ojca. Nagle ogarnął go żal z powodu utraconych możliwości i nadziei. Jedyne sposobem na odzyskanie równowagi to jak najszybciej pozalutwać wszystkie sprawy i wrócić do Houston, do tego, co znał najlepiej. Do szybkich samochodów i szybkich kobiet. Niekoniecznie w tej kolejności.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Drew czuł się zupełnie zdruzgotany, patrząc na stos papierów i teczek na biurku swego ojca; większość z nich nie była nawet posegregowana.

Prawnicy, zatrudnieni w firmie Johna, właśnie wyjechali. Miał jasnego wykazu i pewnych danych o stanie aktywów i obciążeń, udzielili mu wymijających odpowiedzi i wątpliwych wskazówek. Instynktownie czuł, że ich brak wiedzy nie wiązał się z niedbalstwem, lecz raczej z brakiem dostępu do informacji. John nie dopuszczał ich do wielu swych interesów. Jediną osobą, która wydawała się cokolwiek wiedzieć, był menedżer firmy, Timothy Pollard, który znajdował się obecnie rozmyślnie - jak podejrzewał Drew - w sprawach służbowych poza miastem.

Drew zacisnął mocno usta. Pan Timothy Pollard będzie musiał odpowiedzieć mu na wiele pytań po swym powrocie. Na razie jednak nie miał innego wyjścia jak tylko próbować przekopać się przez te papierzyska i samemu ustalić stan interesów na tyle, na ile mógł.

Na dźwięk telefonu podniósł słuchawkę i bąknął niezbyt przytomnie:

- Halo.
- No i jak, trafiła ci się jakaś nowa zdobycz?

Drew odchylił się wygodnie w krzesło.

- Wiesz, Skip, to mi się w tobie podoba, że nigdy niczego nie owijasz w bawełnę.

- Nie widzę powodu, żebym miał to robić.

- Co słyhać?
- Kiedy wracasz?
- Nieprędko. W interesach ojca panuje totalny bałagan. Nawet w przybliżeniu nie był tak zaradny, jak sądziłem.
- Jak to?
- Zostawił testament. Oczywiście całość zapisał matce, ale ona nie jest w stanie ogarnąć tego wszystkiego.
- Gdybym tylko mógł ci w czymś pomóc, daj znać.
- A jak tam z dokumentami, które wymagają mojego podpisu?
- Nazbierała się ich cała sterta.
- To mi je przefaksuj.
- Firma z Dallas zamierza dać ci jeszcze trochę czasu. Ich pełnomocnik dzwonił niedawno.
- To dobra nowina - odrzekł Drew. - Przynajmniej mam nadzieję. Pozbieraj wszystkie dane, jakie dotyczą tej sprawy.
- Zrobione.
- Zamierzam wpaść do Houston na początku przyszłego tygodnia, chociaż na jeden dzień.

Pożegnali się. Drew okręcił się na krześle i popatrzył przez okno. Dzień był słoneczny i niezbyt gorący. Jak dobrze byłoby znaleźć się teraz na torze. Odpowiadał jednak za Janet, nie mógł jej tak zostawić. To matce zawdzięczał, że jego dzieciństwo było znośne. Robiła wszystko co mogła, by złagodzić skutki emocjonalnego odrzucenia go przez ojca.

Myśl o matce wywołała uśmiech na jego twarzy. Była uosobieniem dystygowanej damy z Południa, lubianą i szanowaną przez wszystkich w mieście. Teraz, w tych trudnych chwilach, otrzymywała tego dowody.

Nagle, spontanicznie i nieoczekiwanie, przyszła mu

na myśl Ann Sinclair. Pod wieloma względami przypominała mu matkę. Od chwili, kiedy zobaczył Ann przed tygodniem na cmentarzu, myślał o niej często.

Zastanawiał się, co go w niej tak intrygowało? Może jej spokojna uroda? Było to zupełnie idiotyczne, ponieważ przyrzekł sobie trzymać się z dala od kobiet pokroju Ann Sinclair. Ona nie była na jedną noc, a przecież tylko takie go interesowały.

Kobiety niewinne, nie zepsute, nigdy go nie pociągały. Od kiedy poprzysiągł sobie, że nie da się wciągnąć w żadne zobowiązania i żadne małżeństwa, każda kobieta, która budziła w nim poważniejsze zainteresowanie, wprawiała go w ogromne zdenerwowanie. I właśnie Ann tak go denerwowała.

Niezadowolony ze swych myśli, obrócił się na krześle i stwierdził, że najlepiej zrobiłaby mu teraz filiżanka mocnej kawy.

Ann odłożyła słuchawkę i roześmiała się głośno. Drugi ważny telefon. Kolejna dobra nowina. Nie mogła się doczekać, kiedy podzieli się nią z Sophie.

Nim zadzwonił telefon, zastanawiała się nad urządzeniem dodatkowego gabinetu w zakładzie. Jeśli zamierzała rozszerzyć zakres usług, większa powierzchnia była niezbędna.

Ann zlustrowała swój stolik do manikiuru. Wszystko było w porządku. Zakład, podobnie jak dom, stanowił jej dzieło i był równie uroczy. Rzadko pozwalała sobie na samozadowolenie. Przeciwnie, zwykle była dla siebie nawet zbyt surowa, zbyt wymagająca.

Dziś jednak, przez te kilka spokojnych chwil przed otwarciem zakładu, podziwiała własne dzieło. Jedną ze ścian zdobiła wzorzysta tapeta, pięknie kontrastująca z grubym, brzoskwiniowym dywanem na podłodze.

Pozostałe ściany były pomalowane na biało, dzięki czemu mogła umieszczać na nich najrozmaitsze plakaty i fotografie z dziedziny kosmetyki.

Dwie etażerki ze szkła i mosiądzu mieściły różne środki do pielęgnacji włosów i paznokci, przeznaczone do sprzedaży. W całym gabinecie rozstawione były doniczki z żywymi roślinami i koszyczki z aromatycznymi mieszkankami ziół i korzeni.

Były jeszcze dwa pomieszczenia. W jednym robiła pedikiur, drugie zaś miała zamiar wyremontować.

Gdyby tylko jej osobiste życie było równie bogate jak zawodowe. Od czasu pogrzebu ciągle powracała myślą do Drew MacMillana. Spotkanie i rozmowę z nim na cmentarzu przeżyła bardziej, niż odważała się przyznać przed samą sobą. Zapomniała już, jaki był przystojny. A kiedy na nią spojrział...

Usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Poczekała, aż Sophie zamknie za sobą drzwi.

- Zgadnij, co się stało - oznajmiła radośnie.

Sophie, stawiając torbę przy stoliku, spytała:

- Dostałaś wiadomość?

- Skąd wiesz?

- Nic nie wiem - odparła Sophie. - Po prostu zgadłam.

Oczy Ann płonęły podnieceniem.

- Są nami zainteresowani. Firma „All Natural” wysyła do nas kogoś na wstępne rozmowy.

- Naprawdę? - w głosie Sophie podniecenie mieszało się z obawą.

- Naprawdę.

- Ich produkty są tak popularne i jedne z najlepszych. Jak ty to zrobiłaś? Musiałaś rzucić urok na tego grubego. - Sophie aż klasnęła w dłonie.

- Naprawdę nie pojmuję, jak mi się to udało.

Sama wiesz, że to nie było łatwe, ale musiałam spróbować.

- No cóż, ryzyko się opłaca.

- Nie mów hop. Na razie musimy udowodnić, że potrafimy sprzedawać ich produkty. A to oznacza, że musimy zrobić szaloną reklamę.

- Słusznie - potwierdziła Sophie. - Zaczniemy dzisiaj, wśród klientek, spróbuję coś wymyślić.

- Ja też - powiedziała Ann i spojrzała do swojego notesu. - Och, niestety, dziś nic z tego.

- U mnie też prawie pełno - stwierdził Sophie.

- Jeśli jeszcze będziemy miały dużo klientek z ulicy, będą z tym kłopoty.

- Takie kłopoty to ja lubię - oznajmiła Ann, po czym skrzywiła się na myśl o dwóch klientkach zapisanych na pedikiur.

- Pora zabrać się do pracy - oświadczyła Sophie.

- Owszem. Zwłaszcza że idzie pani Riley.

Najbardziej popularny bar przy placu nosił dumną nazwę „Filizanka Kawy”. Szydł był tak stary i zużyty, że już przed laty Drew obawiał się, iż może spaść i wylądować na czyjejs głowie, ale, jak dotąd, ciągle się trzymał.

W środku panował gwar. Drew dostrzegł wolne miejsce w odległym kącie sali. Uśmiechnięta blondynka przyjęła od niego zamówienie. Czekając na kawę, patrzył przez okno i starał się nie myśleć o niczym poważnym.

I nagle usłyszał swoje nazwisko przy akompaniamentcie wybuchów śmiechu. Zaciekawiony przyłożył głowę do oparcia krzesła i słuchał. Nie zauważył, kto zajmował kąt za nim, nie obchodziło go to dotąd. Akurat w tym momencie kelnerka przyniosła kawę.

- Czy życzy pan sobie coś jeszcze?

Drew zmusił się do uśmiechu.

- Nie, dziękuję.

Patrzyła na niego wymownie, w jej oczach płonęła ciekawość. Ale ku jego wielkiej uldze nie odezwała się już i odeszła.

Tuż za jego plecami rozmowa toczyła się dalej. Jakaś kobieta szeptała. Wreszcie któraś spytała donośnie:

- A widziałaś go na pogrzebie?

- Musiałabyś być ślepa, żeby go nie zauważyć
- usłyszała inny kobiecy głos.

- Wiem, że na pogrzebie nie powinno się zwracać uwagi na takie rzeczy, ale on wyglądał wprost cudownie.

Kobieta roześmiała się.

- Nie musisz mnie przekonywać. Drew MacMillan znajdzie miejsce w moim łóżku, kiedy tylko zechce.

Drew uśmiechnął się. To brzmiało zachęcająco.

- No, kochana, gdyby Sam to usłyszał, to by cię chyba zabił.

Drew uśmiechnął się jeszcze szerzej. Kobiety rozmawiały coraz śmielej i głośniej. Teraz mógł ich słuchać nie nadstawiając specjalnie uszu. Miał jedynie nadzieję, że inni nie zwracali na tę rozmowę uwagi.

- Obie jesteście okropne. Przyznaję, że prezentuje się nie najgorzej - przyznał jakiś piskliwy kobiecy głosik - ale wcale nie jestem przekonana, czy taki z niego stuprocentowy mężczyzna?

Uśmiech Drew zniknął, podobnie jak i dobry nastrój.

- Daj spokój, nie wierz tak od razu we wszystko, co wypisują w gazetach.

- Ale - wykrzyknęła któraś - jeśli on rzeczywiście jest impotentem...

Drew podskoczył, jakby go ktoś uderzył. Dosyć tego. Nie kończąc kawy, rzucił na stół kilka monet i ruszył do drzwi.

Kilka minut później wszedł do kuchni w posiadłości MacMillanów. Aż się gotował z wściekłości.

Rebeka Crips, gospodyni, która była w rodzinie MacMillanów na długo przed jego urodzeniem, stała przy zlewie. Duże, przestronne pomieszczenie pachniało świeżo upieczonym chlebem.

- Jesteś albo chory, albo wściekły - oznajmiła bez ogródek. - O co chodzi?

Pracowała już tyle lat dla rodziny, że pozwalała sobie na wiele i uchodziło jej to na sucho. Była absolutnie lojalna wobec MacMillanów i broniłaby ich własną pierśią.

- To drugie - głos drżał mu z tłumionej złości.

- Rozumiem. Chcesz kawy?

- Nie, dziękuję. Jak mama?

- Niech Bóg ją ma w opiece, zasnęła. Niedawno u niej byłam.

- To dobrze - powiedział Drew, starając się odzyskać panowanie nad sobą.

- Naprawdę nie chcesz mi powiedzieć, co się stało?

Drew nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Becky, co my byśmy bez ciebie zrobili?

Zarumieniała się słysząc ten komplement.

- Właśnie wracam z kawiarni, gdzie byłem obiektem publicznej dyskusji. - Drew znowu się zasepił.

- To mnie wcale nie dziwi.

- Co to znaczy?

- Wiesz, jak ludzie lubią mówić, zwłaszcza o waszej rodzinie. To się nigdy nie zmieni - stwierdziła spokojnie.

- Słyszałaś te plotki, tak? Odpowiedz! - dopytywał się Drew.

- Tak, ale nie przywiązuję do nich żadnej wagi. Ot, obrzydliwe bzdury, nic więcej.

- Cholera!

- Uważaj, co mówisz. Twoja mama dostałaby ataku, gdyby to usłyszała.

- Powiedz mi, co do ciebie doszło? - nalegał Drew przymilnym tonem.

Uśmiech uwydatniał zmarszczki na twarzy Becky.

- Daj spokój. - Zamilkła na chwilę. - Założę się, że wiem, gdzie te wstrętne ploty powstały.

Drew zamarł w napięciu.

- Gdzie?

- W „Lakierowanym świecie”.

- Co to jest, u diabła?

- Salon kosmetyczny. No wiesz, tam gdzie kobiety chodzą malować sobie paznokcie. Właścicielką jest Ann Sinclair.

Drew czuł, że zaraz się udusi.

- A niech to szlag trafi!

- To taki salon piękności.

Ale Drew już nie słuchał dalej. Ruszył w stronę drzwi i otworzył je z rozmachem.

- Dokąd zamierzasz iść, młody człowieku? - zawołała za nim Rebeka rozdrażnionym głosem. - Zaraz będzie obiad.

- Nie martw się. Zjem później. Teraz muszę coś załatwić.

I zdecydowanie zamknął za sobą drzwi.

Ann i Sophie ciągle umawiały kolejne klientki. Ann podejrzewała, że przyczyną wzmożonego ruchu była zabawa w miejscowym klubie w najbliższy weekend. Poza tym tartak znowu najął stu robotników. Miejskowa gazeta donosiła, że fabryka otrzymała rządowe zamówienie.

A zresztą wszystko jedno. Ann czuła radosne podniecenie. Lubiła krzątanie i bieganie, bo to oznaczało ruch w interesie. A większe obroty umożliwią jej wkrótce przystąpienie do prawdziwej ekspansji.

- Wychodzę - oznajmiła Sophie o siódmej zmęczonym głosem.

- Uff, ja też już niedługo - odparła Ann. - Już nie pamiętam, kiedy byłam tak skonana.

Zabrała się właśnie do porządkowania gabinetu, gdy usłyszała pukanie. Zmarszczyła czoło. Któż to dobija się o tej porze? Pewnie ktoś zauważył, że w gabinecie jeszcze pali się światło i chce skorzystać z okazji. Nie, nie ma mowy o robieniu komuś manikiuru o tej porze, jest za bardzo zmęczona.

Otworzyła drzwi. Ujrzała Drew opartego o filar.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Drew przekroczył próg, zatrzymał się pośrodku gabinetu i oznajmił:

- Mam zamiar się z tobą procesować.

Spokojnie, na ile pozwalały jej na to zeszytowane mięśnie, zbliżyła się do niego z wyrazem zdumienia i osłupienia na twarzy.

- O czym ty mówisz?

Wykrzywił usta w szyderyczym uśmiechu.

- Nie udawaj przede mną niewiniątka.

Przyglądała mu się oszołomiona. Stała tak blisko niego, że czuła jego siłę. Żyły na jego szyi naprężyły się, a szerokie ramiona wydawały się niezwykłe.

Mimo porannego golenia widoczne już były ślady zarostu. Wysokie kości policzkowe wraz ze skrzywionym nosem, pamiątką po latach miłości do futbolu, uwydatniły się jeszcze bardziej.

Miał na sobie czarne dżinsy, luźną koszulę i wysokie buty. I chociaż wydawał się spokojny, Ann wiedziała, że było inaczej. Był nieprzytomny z wściekłości i przez to jeszcze bardziej pociągający.

- Nie myśl, że uda ci się wywieść mnie w pole.

Ann zdobyła się na śmiały, chłodny uśmiech.

- W dalszym ciągu nie wiem, o czym mówisz. Wpadasz tu jak dzikus i zaczynasz miotać jakieś oskarżenia...

- Daruj sobie - powiedział gwałtownie.

Ann wysunęła do przodu podbródek i zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie niemal wbiły się

w ciało. Sądząc po spojrzeniu, jakim ją obrzucił, nie wywarło to na nim wrażenia.

Opuściła głowę i skoncentrowała się na usuwaniu nitki ze swoich spodni. Gdy Drew naprawdę się wściekał, znikał jego sympatyczny sposób bycia. Najwidoczniej jakoś musiała go rozwścieczyć albo coś sobie ubzdurał. Musiał zawsze postawić na swoim, przypominała sobie gorące sprzeczki między nim a Peterem. A jednak Ann uległa pokusie, by wypróbować, jak daleko może się posunąć. Uniosła głowę prowokująco.

- Jesteś w moim zakładzie i mam prawo żądać, żebyś go natychmiast opuścił.

- Źle na tym wyjdiesz - oznajmił z bezczelną pewnością siebie.

Ogarnęła ją furia. Za kogo on się uważa? Chciała mu wygarnąć, lecz z wściekłości nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

- Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że chociaż ty jesteś inna - parsknął. - Okazuje się jednak, że jesteś taka sama jak te wszystkie baby, które znam. Nie potrafisz utrzymać języka na wodzy.

- Nie potrafię utrzymać języka! - Ann płonęła z oburzenia. - Na litość boską, przestań mówić zagadkami.

- Ohydne plotki. Czy to ci coś mówi?

- Zbaczasz z tematu - odparła.

- Czy możesz powiedzieć mi prosto w oczy, że to nie o mnie plotkowano w twoim zakładzie?

A więc o to chodziło. Znowu ten artykuł z rubryki towarzyskiej i jego przykre dla niej konsekwencje.

- Posłuchaj - odezwała się wreszcie. - Nie zaprzeczam, że mówiono o tobie, ale...

- Ale co?

- Proszę cię, pozwól mi skończyć, dobrze?

- Słucham.

- Cokolwiek powiedziano o tobie w tych ścianach, nie wyszło to z moich ust. Nie mogę odpowiadać za to, co mówią inni.

- A czy jesteś w stanie wyobrazić sobie, jak można się czuć, słysząc przypadkiem tego rodzaju brudy?

- Czy nie sądzisz, że trochę zbyt dramatycznie podchodzisz do sprawy? - Usiłowała nadać rozmowie lżejszy ton. - Z pewnością masz ważniejsze rzeczy na głowie, niż martwić się tym, co ludzie gadają.

Odwrócił od niej wzrok.

- I tak, i nie.

Niewątpliwie miał rację. Mężczyzna nie potrafi zachować obiektywizmu, gdy kwestionują jego męskość. Ale, tak czy inaczej, Ann nie miała zamiaru ponosić odpowiedzialności za kilka bezmyślnych plotkarek, które rozprawiwały o nim z takim zapałem. Ostrzegała je, żeby zamknęły buzie. Może powinna była zrobić to ostrzej.

- A jaki był twój udział w rozmowie?

Ann zamrużyła oczami ze zdziwienia.

- Co takiego?

- Przecież słyszysz.

Z całą premedytacją chciał ją obrazić, i Ann doskonale zdawała sobie z tego sprawę. To prawda, że właśnie stracił ojca i przeżywał ciężkie chwile, ale to go nie uprawniało do wyładowywania na niej swojej frustracji.

Odwróciła się na pięcie i podeszła do okna, gdyż jego bliskość nie pozwalała jej spokojnie zebrać myśli.

Wreszcie odwróciła się znowu ku niemu i powiedziała z cukierkową słodyczą:

- W porządku, jeśli niesprawiedliwie przeze mnie cierpiełeś, przepraszam.

Poczuła się nagle straszliwie zmęczona tym zajściem i swoją uległością. Z całą premedytacją ziewnęła, po

czym imiosła ramiona i przeciągnęła się, nieświadoma tego, że jej piersi napięły cienki materiał bluzki, nie pozostawiając najmniejszych wątpliwości co do ich pełnych kształtów.

Spostrzegłszy gwałtowny oddech Drew, Ann uświadomiła sobie swoje zachowanie. Oczywiście mężczyzny, które do tej pory wnikliwie studiowały jej twarz, teraz zatrzymały się na piersiach.

Atmosfera zrobiła się napięta. Ann, próbując rozpaczliwie ją rozładować, zaczęła:

- Myśle...
- Przekonaj mnie o tym. - Jego głos był ochrypliwy.
- Słucham?
- Przekonaj mnie o tym.
- Jak? - zapytała z rozpalonymi policzkami.

Drew zawahał się tylko sekundę.

- Przygotuj mi kolację.

Co on wyprawia? Gra jakąś głupią komedię? Prowokuje ją? Przypuszczała, że i jedno, i drugie po trochu. Ale dlaczego? Przecież dostał to, po co przyszedł, czyli przeprosiny, choć co prawda dość dwuznaczne.

- Na przykład jutro wieczorem? - Jego oczy wpatrywały się w nią przenikliwie. - O ósmej?

Kręciło się jej w głowie. Dwuznaczne zachowanie i ostry flirt były jej całkowicie obce. Przeżyła już co nieco, nigdy jednak nie spotkała się z taką nie ukrywaną poządlivością, z jaką Drew patrzył na nią teraz. Po prostu rozbierał ją wzrokiem.

Zwilżyła wargi językiem.

- Jutro wieczorem - bąknęła. - O ósmej.

Jego oczy przywarły do jej twarzy, po czym odwrócił się i wolnym krokiem skierował się ku wyjściu.

Gdyby Ann nie oparła się o parapet okna, zemdlaby. Co, u licha, w nią wstąpiło? Wpłytywać się

w bliższą znajomość z Drew MacMillanem znaczyło tyle samo, co igrzać z ogniem, można się tylko poparzyć. Na szczęście Drew niedługo wróci do Houston, to tylko kwestia czasu.

- Które akta mam panu podać, sprzed ilu lat?

Drew patrzył na Rose, sekretarkę ojca, nieprzytomnym wzrokiem. Jego myśli wędrowały ciągle w tak różnych kierunkach, że nie potrafił skupić się na niczym dłużej.

- Panie MacMillan, protokoły bilansu sprzed ilu lat?

- Przepraszam, Rose - powiedział Drew z wymuszonym uśmiechem. Była to nieładna kobieta, tuż po pięćdziesiątce, jej lojalność wobec ojca miała prawdopodobnie źródło w lęku przed nim.

Czekała cierpliwie na odpowiedź Drew, jej twarz wyrażała niepokój. Teraz powodem strachu była obawa przed utratą pracy. Chyba miała rację. Finanse i stan spółki powinny być w lepszym stanie, niż się znajdowały. Drew starał się ustalić winnego.

- Sprzed pięciu. Rose, a gdzie podziewa się Tim Pollard?

Zarządca spółki ciągle był nieobecny. Drew był przekonany, że właśnie on był przyczyną przynajmniej części tych kłopotów.

- Dzwonił tuż przed pana przyjściem. - Rose zamilkła.

- I co? - dopytywał się Drew z nietypową dla niego cierpliwością.

- Jest... z powrotem w mieście.

- Dlaczego nie skontaktował się ze mną?

- Mówi, że złapał gdzieś jakiś groźny wirus i nie zjawi się w firmie wcześniej niż w przyszłym tygodniu.

- Co za zbieg okoliczności - skomentował Drew z sarkazmem.

Rose zarumieniała się.

- Czy mam do niego zadzwonić i...
- Nie, nie trzeba - uciał Drew.

Gdy sekretarka odeszła, zajął się stosem papierów leżących przed nim. Jak długo uda mu się prowadzić interesy i tutaj, i w Houston równocześnie? Z każdym dniem stawało się to coraz trudniejsze. Choćby same transakcje samochodowe wymagały jego pełnej koncentracji, a oto znalazł się pośród chaosu dalece przekraczającego jego wyobrażenia. Aż trudno było uwierzyć, że ojciec, uważany za doskonałego biznesmena, mógł pozostawić taki bałagan w interesach. Stało się, ostro upomniał siebie Drew, i lament nic nie pomoże, ale przestudiowanie ksiąg finansowych może dostarczyć jakiejś odpowiedzi.

Jednak zamiast cyfr przed jego oczami ukazała się twarz Ann. Z rozmachem zamknął skoroszyt, przymknął powieki i oparł głowę na dłoniach.

Oszalał! Albo po prostu zgłupiał. Ciągłe nie mógł uwierzyć, że poprosił ją o przygotowanie mu kolacji. Stanowiło to absolutne ukoronowanie wszystkich absurdalnych rzeczy, jakie kiedykolwiek zrobił czy powiedział.

Pierwszym błędem było wybranie się do jej zakładu. Ale przecież, do diabła, chodziło o jego dumę. O jego męskość. Boże, co też pomyśleli sobie o nim ludzie? Co powiedzieli? Zazwyczaj nie dbał o to, co inni o nim sądzą. Jeśli nie podobało im się to, co mówił czy robił, była to ich sprawa. Nie dał się zastraszyć nawet swemu staremu.

Jednak myśl, że ktoś mógłby uwierzyć w te bzdury i sądzić, że on jest impotentem...

Chyba jedynie transplantacja mózgu zdołałaby

powstrzymać go od myślenia o niej. Kiedy uniosła ramiona i ujrzał te jej pełne piersi...

Owo szalone uczucie nie miało bynajmniej swego źródła w seksualnym żarze. Owszem, było jego częścią, nie zamierzał temu zaprzeczać. Ale sposób, w jaki stawiała mu opór, gdy wtargnął do jej gabinetu niczym tygrys wypuszczony z klatki, przynosił jej zaszczyt. Podniosła głowę i patrzyła mu prosto w oczy.

O nie, nie tylko sam seks był winien tej burzy, jaka szalała w jego wnętrzu. Jej źródło było głębsze.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Muszę przyznać, że była to jedna z lepszych, a może nawet najlepsza kolacja, jaką kiedykolwiek jadłem. - Drew z uśmiechem usiadł na kanapie, nie przestając przez cały czas głaskać się po brzuchu.

Ann czuła się zażenowana, choć przecież wiedziała, że jego komplement był po części zwykłą gadaniwą, po części zaś próbą oczarowania jej. Niemniej sprawił jej przyjemność. Pękłaby ze złości, gdyby się okazało, że na darmo spędziła długie godziny w kuchni.

- Cieszę się, że ci smakowało - powiedziała, zaniepokojona dziwnym drżeniem jego głosu.

Zauważyła to od razu, kiedy zadzwonił dzwonek i wpuściła go do środka. Nie wiedziała, czego mogła się spodziewać po sobie samej i po nim. Przez całe popołudnie nie miała ani chwili oddechu: sprzątała mieszkanie, gotowała, sprzątała. Dzięki Bogu w gabinecie nie było tego dnia dużego ruchu, więc już w południe mogła wrócić do domu.

Kiedy uporała się ze wszystkimi pracami, zajęła się sobą. Wzięła gorącą kąpiel, umyła i wysuszyła włosy i zrobiła staranny makijaż. Zastanawiała się długo, w co ma się ubrać, aż wreszcie zdecydowała się na spodnie z czerwonego jedwabiu i odpowiednią bluzkę z rękawami. Wiedziała, że w tym stroju wygląda bardzo atrakcyjnie. Potem starała się przygotować psychicznie na zbliżające się spotkanie, upominając samą siebie, że Drew nie chciał od niej niczego poza

kolacją. Kiedy wieczór dobiegnie końca, jej gość pójdzie sobie. I tyle.

Kiedy jednak uśmiechnął się do niej przez próg, poczuła, że nogi uginają się pod nią.

- Dobry wieczór - powiedział.

Nie była w stanie się ruszyć z miejsca, zdołała jedynie odpowiedzieć:

- Dobry wieczór.

Drew zadarł głowę.

- Czy będziemy jeść na zewnątrz?

- Nie, oczywiście że nie - odparła.

Roześmiał się.

- Czy wobec tego nie poprosisz mnie do środka?

Ann poczuła, jak jej policzki oblewają się szkarłatnym rumieńcem. Odsunęła się nieco na bok, by mógł przejść dalej.

- Przepraszam.

- Ojej, ależ tu pachnie - powiedział, głęboko wciągając powietrze.

- Upiekłam chleb.

- Ty sama?

Przytaknęła i wprowadziła go do saloniku.

- Nie znam nikogo, kto by to jeszcze robił w tych czasach.

- Nie robię tego często.

Kosmyk jasnych włosów opadł mu na czoło. Aż zaswędziały ją palce, żeby go odgarnąć, ale poruszyła tylko nimi nieznacznie.

- Czy kolacja już gotowa?

- Widzę, że jesteś głodny.

Oboje uświadomili sobie dwuznaczność tego stwierdzenia i na moment zamarli w bezruchu.

Po chwili Drew odchrząknął:

- Przez cały dzień nic nie jadłem.

- Wszystko jest już gotowe.

Od razu zasiedli do kolorowo udekorowanego stołu, gdzie Drew pochłoniął dwie potężne porcje kurczaka, sałaty i chleba domowego wypieku. Rozmawiali o rzeczach błahych i ogólnych. Ann była zbyt zdenerwowana, by jeść dużo, z przyjemnością zaś przyglądała się, jak Drew szybko zmiata to, co ma na talerzu.

Sytuacji krepujących nie było, ku jej uldze, wiele. Gdy Drew powiedział coś śmiesznego, a ona roześmiała się głośno, zauważyła po chwili w jego oczach bardzo dziwny wyraz, który nie tylko wprawił ją w zakłopotanie, lecz także przepelnił uczuciem ciepła.

A teraz, gdy bezustannie gładził się po brzuchu, z nogami wyciągniętymi wygodnie przed siebie, nie mogła oderwać od niego oczu.

Ubrany był w dżinsy i żółtą koszulę, która doskonale podkreślała błękit oczu i ciemną opaleniznę. Pomyślała o napiętych mięśniach ukrytych pod ubraniem i przełknęła nerwowo ślinę, przypomniawszy sobie, jak durzyła się w nim przed laty. Dopiero kiedy wyjechał, zrozumiała, że jej uczucie nie miało sensu. Drew był wiecznym bawidamkiem, nie mającym zamiaru angażować się w cokolwiek.

- Widzę, że potrafisz nie tylko gotować, herbata też jest doskonała. - Opróżnił swoją filiżankę.

Uniosła się, by napełnić mu ją znowu.

Drew podniósł do góry rękę i uśmiechnął się szeroko.

- Nie wstawaj. Ja to zrobię. - Wziął także jej filiżankę.

- A może jednak wolałbyś szklanekę piwa? - Ann opadła znowu na kanapę.

- Nie, dziękuję. Muszę jeszcze dzisiaj pojechać do biura i przejrzeć papiery.

- Aha, chcesz mieć jasny umysł.

- No właśnie - powiedział z rozbijającym uśmiechem.

Jeśli nie przestanie uśmiechać się w ten sposób, to chyba nie zdoła zapanować nad sobą. Kiedy odszedł spokojnym krokiem do kuchni, Ann pozwoliła sobie odetchnąć głęboko przez ściśnięte gardło. Czuła się bezwładna jak szmaciana lalka. O Boże, przecież musi zapanować nad tymi wzburzonymi emocjami...

Słyszając jego kroki, szybko ułożyła usta w chłodny uśmiech. Lecz gdy znalazł się w zasięgu jej wzroku, uśmiech zniknął. Im bliżej podchodził, tym głośniejszy odzywał się w niej dokuczliwy głos: okłamujesz samą siebie. Jego fizyczna siła przepędzała cały pokój, sprawiała, że wydawał się mniejszy. Nie uda mu się wyjść z jej życia ot tak, po prostu, bez śladu, pomyślała z zamierającym sercem.

Drew usiadł znowu na swoim miejscu na kanapie, po czym podał jej szklankę.

- Żebyś nie mówiła, że nigdy nic dla ciebie nie zrobiłem.

Kiedy Ann już później zastanawiała się nad wszystkim, doszła do wniosku, że to przypadkowe dotknięcie nie było częścią planu gry, lecz zdarzyło się niechcący. Delikatne, ale wyraźne muśnięcie palców przeszło prądem jej ciało.

Drew chyba to zauważył. Cofnął się, po czym zmienił temat.

- Co słyszać u Petera?
- Nic szczególnego. - Ann zachmurzyła się.
- Nie obchodzi cię, co się z nim dzieje?
- I tak, i nie - odpowiedziała z westchnieniem.
- Czy to prawda, że popadł w konflikt z prawem?
- Tak. - W jej głosie dawało się wyczuć gorycz.
- On odzywa się tylko, jeśli czegoś potrzebuje.
- Wielka szkoda. Miał... ma takie duże możliwości.

- To prawda. Ale mama zawsze mówiła, że brakuje mu kręgosłupa.

- Próbowiałem mu pomóc.

- Tak, wiem. Ale on czuł się dotknięty. - Ann spojrzała na swoje ręce. - Ciągłe mam nadzieję, modłę się o to, żeby jak najszybciej się otrząsnąć.

- Może tak się stanie. - Drew spojrzał na nią przenikliwie.

Na chwilę zapadła cisza.

- No, wieczór był wspaniały, ale muszę już iść - powiedział z rezygnacją Drew, nie uczynił jednak najmniejszego ruchu, żeby wstać.

- Rozumiem, że zostałam oczyszczona z zarzutów?

- spytała Ann.

Drew zacisnął usta.

- No, odważ się i powiedz to.

- Co? - zdziwiła się Ann udając, że nie wie, o co mu chodzi.

Drew uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Że zachowałem się jak największy bałwan.

- Ja tego nie powiedziałam.

- Ale pomyślałaś.

- No cóż...

Drew zachichotał.

- Boże, wprost nie mogę uwierzyć, że wtargnąłem do ciebie i zacząłem cię oskarżać. Ale kiedy Becky powiedziała, że te trąkoczące kwoki słyszały to u ciebie, straciłem panowanie nad sobą.

- Mówiąc szczerze, miałeś za sobą niełatwy tydzień. Najpierw śmierć Johna, potem niepokój o zdrowie matki, aż wreszcie dowiadujesz się, że ktoś oskarża cię o imp... - Jej głos załamał się i nie dokończyła już zdania.

- O impotencję. Tak to się nazywa - powiedział z błyskiem rozdrażnienia w oczach.

Ann zaczerwieniła się, ale nie potrafiła się powstrzymać:

- Tyle tylko, że nie jesteś... - znowu głos uwiązał jej w gardle.

- Można mnie oskarżać o wiele różnych rzeczy, ale na pewno nie o to.

- Cieszę się...

Roześmiał się słysząc jej odpowiedź.

- Ja też.

Lubiła, kiedy się śmiał, nawet jej kosztem. Miał wtedy takie rozjaśnione oczy.

Lubiła wszystko w tym mężczyźnie: jego głęboki, szorstki głos, fryzurę, zapach, jaki roztaczał...

On jednak nie był zainteresowany jej osobą.

Była o tym przekonana, dopóki jego śmiech nie ucichł i jego oczy nie spotkały się z jej wzrokiem. Coś rodziło się między nimi, coś żywego i mocnego.

Ann zerwała się na równe nogi i przeszła na środek pokoju. DREW odchrząknął.

- Powiedz mi, co ty robisz?

- Jak to co robię? - Odwróciła się w jego stronę.

- No, wiesz, w pracy.

- Ach - odetchnęła z ulgą. - Zamieniam brzydkie paznokcie w ładne.

- I z tego żyjesz? - Pokręcił głową.

- Wcale nie najgorzej. A zamierzam jeszcze lepiej.

- W jaki sposób?

Objawiła mu swe plany rozwinięcia zakładu.

- Widzę, że dokładnie wiesz, czego chcesz.

-A ty?

Wzruszył ramionami.

- Można chyba powiedzieć, że żyję w pędzie.

- Widzę, że się nie zmieniłeś.

- Nie. Samochody mam po prostu we krwi.

- Nie myślałeś jednak, że będziesz zarabiał na życie sprzedawaniem ich, prawda?

- Masz rację. Wyobrażałem sobie, że ojciec ściągnie mnie do firmy i każe pracować w tartaku.

- Nie zrobił tego.

- Ale nie dlatego, że nie chciał, możesz mi wierzyć. Kiedy mu powiedziałem, że nie mam zamiaru przejmować po nim rodzinnego interesu, wpadł w szal. A mój kumpel z college'u miał takiego samego bzika na punkcie samochodów, jak ja i chciał otworzyć swój własny biznes z używanymi samochodami. Potrzebował trochę forsy. Wobec tego wziąłem depozyt mojej babki i wszedłem z nim w spółkę. Potem on mnie spłacił, a ja kupiłem nową firmę samochodową.

- A teraz odniesiony sukces umożliwia ci zabawę?

- Jeśli wyścigi są dla ciebie zabawą, to można to tak określić.

- Kiedy masz zamiar do tego wrócić?

Jego twarz sposepniała.

- Niezbyt prędko. Muszę najpierw uporządkować firmę ojca.

- Przykro mi - powiedziała Ann, gdyż nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

- Mnie też. - Podniósł się gwałtownie. - No właśnie. Jeśli stąd nie wyjdę, nigdy nie uporam się z tym chaosem.

Odprowadziła go do drzwi. Spojrzeli sobie prosto w oczy. Nagle nie mieli nic do powiedzenia. W ciągu wieczora rozmowa toczyła się nawet nie najgorzej. Teraz jednak utknęła.

- Drew?

Przez nieskończenie długą chwilę patrzyli intensywnie na siebie.

Drew przyciągnął ją mocno. W całkowitej ciszy. Nie było słyhać nic poza ich oddechami i świerszczami

za oknem. Ann czuła, że rozlewa się w niej nieprawdopodobna fala gorąca.

Rozchyliła usta, a on przywarł do nich w żarliwym pocałunku. Zachowywał się tak, jakby dotknięcie jej ciała rozpałiło w nim ogień. Jego język wdarł się między jej wargi, gorący, wilgotny i dziki.

Ann otoczyła dłońmi jego szyję, zanurzyła palce w jasnych włosach, chociaż bała się, że jego energia może ją pochłonać. Mimo to przywarła mocno do niego.

Słyszała głucho uderzenia własnego serca. A może to jego serce tak biło?

- Do diabła - wymamrotał.

Odwróciła się od niego i zamknęła oczy. Łzy wstydu i upokorzenia spływały po jej policzkach. Jak mogła tak łatwo stracić kontrolę nad sobą?

- Będziemy w kontakcie - powiedział tonem, który przypominał odgłos papieru ściernego.

- Dobrze. - Z najwyższym trudem zdołała to wypowiedzieć. Nie zdobyła się jednak na to, by spojrzeć na niego jeszcze raz.

Kilka sekund później była już sama w domu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Drew przyglądał się badawczo Timowi Pollardowi. Mężczyzna miał ciemne włosy, okrągłą twarz, grube okulary i nieco za duże uszy, przez co przypominał sowę.

Lecz wygląd Pollarda nie miał nic do rzeczy; istotna była jego głupota. Drew nie mieściło się wprost w głowie, jak ten człowiek mógł przypuszczać, że dalej będzie okradać MacMillanów i nie zostanie przyłapany.

Drew przestudiował nie tylko księgi rachunkowe, sprawdził także Pollarda prywatnie, pewien, że odkryje jakąś zmianę w stylu jego życia. Nic go jednak nie uderzyło, oprócz jednego. Pollard miał kochankę. Choć był podporą miejscowego kościoła, zdradzał swoją żonę z kasjerką z banku. Drew miał niejasne przeczucie, że za związkiem Pollarda z kasjerką musiało się coś kryć. Ale jego bankowe konto na to nie wskazywało. Przynajmniej w ciągu ostatnich lat. Zdaje się, że trzeba będzie kopać jeszcze głębiej.

Pollard stanowił twardy orzech do zgryzienia. Drew wezwał go do biura pół godziny temu i przez cały czas zadawał mu pytania. Lecz ten w żaden sposób nie dawał po sobie poznać niepokoju, jedynie od czasu do czasu poprawiał kołnierzyk, jakby za chwilę miał się udusić.

- Dla pana MacMillana byłem cennym nabytkiem
- powiedział chępliwie, przerywając przedłużającą się ciszę. -I nie rozumiem pańskich insynuacji.

- No cóż, mnie nie podoba się to, na co wskazuje stan konta bankowego firmy. - W głosie Drew był lodowaty spokój.

Tim poczerwieniał i znowu wcisnął palce między szyję a kołnierzyk koszuli.

- Zapewniam pana, że księgi są w najlepszym porządku. Proszę sprawdzić.

- Mam zamiar to zrobić, panie Pollard.

Gdy pięć minut później Pollard opuścił biuro, Drew zaklął po cichu i przetań zmęczone oczy. Co za bałagan! Co za cholerny bałagan! Nie był przecież księgowym i nie znał się na kruczkach finansowych. Wyczucie podpowiadało mu jednak, że MacMillan Investments powinno wykazywać większe dochody. Jak powiedział Pollardowi, księgi po prostu nie były w porządku.

Wiedział, kto mógłby mu pomóc. Jego własny księgowy z Houston. W każdym razie na początku. Oprócz ksiąg miał też pudło z fakturami, deklaracjami i kwitami, za które odpowiedzialny był Pollard.

Ponownie przetań oczy, usiłując nie zważać na ich pieczenie. Nie spał pół nocy. Matka znowu miała „przygodę” z sercem. Najpierw kategorycznie odmówiła pójścia do szpitala, twierdząc, że jeśli już ma umrzeć, woli we własnym łóżku. Oczywiście postawił na swoim. Został z nią całą noc w szpitalu, a ponieważ rano jej stan znacznie się poprawił, przywiózł ją do domu.

Becky obiecała, że jeśli samopoczucie matki pogorszy się choćby odrobinę, natychmiast do niego zadzwoni. Nic jednak nie było w stanie go uspokoić, ponieważ on sam zmierzał ku katastrofie.

A jej przyczyną była Ann Sinclair. Nie mógł się uwolnić od myśli o niej. Nie mógł zapomnieć pocałunku. Już pięć dni minęło od wieczoru, kiedy niby

wystraszony nastolatek po swej pierwszej randce wypadł jak oparzony z jej domu. Ale jej reakcja wywołała w nim zarówno podniecenie, jak i zdumienie. Na zewnątrz chłód... a wewnątrz żar.

Wciąż jeszcze nie potrafił ani wytłumaczyć sobie swego zachowania, ani też przestać o niej myśleć. No i co z tego, że ją pocałował, a ona mu odpowiedziała? To normalne. Nic wielkiego. Jednak nie chciał, żeby na tym się skończyło.

Kiedy drżała w jego ramionach i wpatrywała się w niego z takim żarem, jego ciało płonęło.

I te jej usta. Czekały na niego gorące, wilgotne, spragnione. Niewiele brakowało, a straciłby panowanie nad sobą. W pierwszym odruchu miał ochotę położyć ją na podłodze, obnażyć piersi i przyłgnąć wargami do tych prowokujących brodawek, które czuł na swym torsie. Później pragnął zerwać z niej bieliznę i wdrzeć się w jej gorące ciało.

Nagle stracił oddech. Czyżby strach? Strach, że to było to coś. Ależ na litość boską, on nie miał zamiaru dać się w to wciągnąć.

Postanowił trzymać się od Ann jak najdalej. Dostyc miał już kłopotów. Nie potrzebował dodatkowych zmartwień. Ale czy uda mu się wytrzymać? Zamknął oczy i zastanowił się nad tym przeklętym problemem. W końcu podjął decyzję. Szkopuł jedynie w tym, że decyzja ta wcale mu nie odpowiadała.

Dr Don Dinkmeyer „Jak wychować odpowiedzialne dziecko”. Ann kupiła tę książkę w miejscowej księgarni w drodze powrotnej do domu. Przejrzała ją, potem coś przekazała, wzięła prysznic i przebrała się. Czowała się tak bardzo zmęczona, a łóżko wyglądało tak nęcąco, że opadła na nie ciężko.

To było parę godzin temu. Nie zasnęła jednak ani też nie przeczytała książki.

- Drew - szepnęła.

Kiedy była w pracy, dawała sobie jakoś radę. Odpędzała myśli o nim, były zbyt bolesne. Ale wieczorem nie potrafiła ich odpędzić. Przypominała sobie też własne bezsensowne zachowanie i miała ochotę umrzeć ze wstydu.

Zgasiała lampkę. Leżała w ciemności i słuchała bicia własnego serca.

Ktoś mógłby uznać, że omdlała w jego ramionach, jakby umierała z tęsknoty za mężczyzną. A przecież wcale tak nie było. A kiedy jego język, wilgotny i ruchliwy, spletał się z jej językiem, zupełnie straciła głowę. Temu nie mogła zaprzeczyć.

I to akurat z Drew MacMillanem. Ten zepsuty bawidamek stanowił uosobienie wszystkiego, czego nie chciała w mężczyźnie, w ojcu swego dziecka.

Zwlokła się z łóżka i podeszła do okna. Drobną deszcz spływał po szybie.

Muszę z tym skończyć, powtarzała sobie. Ale tak jak już nieraz, jej myśli i serce znowu wróciły na te niebezpieczne tory.

Przez całe lata trzymała się mocno w ryzach, tłumiąc swe żądze. Jak mogła tak łatwo stracić kontrolę? I tak szybko? Więcej do tego nie dopuści. Drew MacMillan nie ma szans.

Powziąwszy tę ważną decyzję, poczłapała z powrotem do łóżka i naciągnęła kołdrę na głowę.

- Och, Ann, wyglądają naprawdę wspaniale.

Ann, rada z pochwały, uśmiechnęła się.

- Naprawdę tak uważasz?

- Oczywiście - odpowiedziała Kay Townsend.

Wyciągnąwszy przed siebie dłonie z rozstawionymi

palcami, podziwiała garnitur akrylowych paznokci o cudownym różowym kolorze, które Ann przykleiła do jej własnych.

- Pytanie tylko, czy będziesz mogła czesać z tymi pazurkami? - spytała Ann.

- Ręczę za to głową.

- Trzymam cię za słowo - odrzekła Ann ciepło.

Właśnie tego ranka przyjęła Kay do pracy jako fryzjerkę wybraną z wielu kandydatek, które się do niej zgłosiły. Poświęciła wiele godzin na rozmowy z absolwentkami szkół kosmetycznych. Chciała być pewna, że zatrudni najlepszą. Ona i Sophie porozumiewały się ze sobą tak dobrze, że trzecia osoba, która miała do nich dołączyć, musiała doskonale do nich pasować, mieć te same nawyki w pracy i wykazywać ten sam entuzjazm.

- Kiedy będę mogła zacząć? - spytała Kay.

Ann podniosła się z miejsca i zawahała przez chwilę.

- Niestety nie potrafię ci powiedzieć. Stolarz obiecał, że będzie pracować w niedziele i poniedziałki, kiedy zakład jest zamknięty. Myślę, że skończy za dwa tygodnie. - Przerwała i skrzywiła się. - Ale wiesz, jak to bywa. Nigdy jeszcze nie spotkałam stolarza, który dotrzymałby słowa.

- Miejmy nadzieję, że pójdzie dobrze.

Kay zbliżyła się do pustego pokoju, który już niedługo miał być jej miejscem pracy. Ann podeszła do niej i obie zatrzymały się w drzwiach.

- Marzyłam o tej chwili od dwóch lat - odezwała się Ann drżącym głosem. - A teraz, kiedy marzenie ma się spełnić, cieszę się i boję jednocześnie.

Kay uśmiechnęła się.

- Ach, nie trzeba się bać, należy się tylko cieszyć. Wszystko będzie w dechę. Zobaczysz pani. - Spojrzała na Ann z poważną miną. - Czy na pewno nie chce pani przenieść tu swojego stolika?

- Na pewno! - wykrzyknęła Ann. - Ale tak czy inaczej, nie będziesz tu sama.

- Jak to?

Ann zaśmiała się.

- Nie, nie myślę o innej osobie, tylko mam nadzieję, że będziesz zmuszona dzielić pokój z produktami „All Natural”.

- Naprawdę?

- Cały czas trzymam kciuki. Ktoś z firmy ma do nas wpaść na inspekcję.

- Ho, ho, brzmi nieźle.

- Nie ciesz się za wcześnie, jeszcze nic nie jest postanowione. Obawiam się, że oni mogą zażądać większej powierzchni. Ale pomarzyć nigdy nie zaszkodzi.

- Czy nie będzie pani przeszkadzać, jeśli od czasu do czasu wpadnę i dowiem się, jak posuwają się prace? - spytała Kay zmierzając powoli do wyjścia.

- Byłabym zawiedziona, gdybyś tego nie zrobiła.

Zostawszy sama, Ann zabrała się do przygotowania zakładu do otwarcia. Za parę minut powinna pojawić się Sophie, a wraz z nią pierwsza klientka, Mabel. Ale jeśli Mabel choćby raz wymieni imię Drew, Ann rozszarpie ją na kawałki.

Następne godziny minęły dosyć szybko, mimo że nie miały dziś kompletu klientek. Ann musiała jednak załatwić mnóstwo drobnych spraw jeszcze przed godziną piątą, na którą miała zapisaną klientkę na pedikiur.

- Sophie, idę do drugiego pokoju, zaraz powinna przyjść Agnes Gaits.

- Dobrze. Niedługo wychodzę.

- Zobaczmy się jutro.

Mimo nie przespanej nocy Ann nie czuła się

zmęczona. Rozsadzała ją energia; dopóki udawało się jej pracować nie myśląc o Drew, czuła się zadowolona.

Wyjmując z szafki przyrząd do masażu stóp, nawet nuciła sobie coś pod nosem. W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi.

- Proszę wejść tutaj. Jestem zajęta.

- Czym?

Ogarnęła ją panika. Wszędzie rozpoznalaby ten głęboki głos. Każdy nerw w jej ciele drżał. Do licha z jej zdradzieckim ciałem! Do licha z nim!

- Jak się tu dostałeś? - spytała niezbyt pewnym głosem.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Po prostu wszedłem.

- Bardzo zabawne - powiedziała Ann. Ułożyła usta w nieśmiałym uśmiechu, chcąc mu udowodnić, że nie da wyprowadzić się z równowagi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Głos Drew, równie leniwy jak jego szeroki uśmiech, obudził w niej owo „coś”, które poczuła wtedy, gdy jego język wdarł się w jej usta. Zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć, kiedy podniosła na niego wzrok.

Jego uśmiech zgasł, a oczy się zwęziły.

Nikt nic nie mówił, nikt się nie ruszał, jakby oboje przypominali sobie tę chwilę, kiedy byli razem.

Wreszcie Drew drgnął, odchrząknął, ale ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Ann.

Ann zarumieniła się i opuściła głowę, starając się ukryć zmieszanie. Postawiła na podłodze aparat do masażu i była bardzo zaaferowana podłączaniem go do prądu.

Po co on tu przyszedł? - zadawała sobie pytanie. Uznała, że nie pragnął już jej więcej widzieć, tak jak i ona nie chciała więcej widzieć jego. Nieprawda! Chciała go spotkać, tylko wiedziała, że nie wyjdzie jej to na dobre.

Dlaczego on nie przestanie jej dręczyć i nie zostawi jej w spokoju? Znowu tu przyszedł i najwyraźniej nie ma ochoty wyjść. Trzeba więc stawić mu opór.

- Możesz mi wyjaśnić, co masz zamiar zrobić z tym urządzeniem? - spytał.

Ann wyprostowała się.

- To jest aparat do masażu stóp.

- Skoro tak twierdzisz.

Ann uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Nie przewróć go. Oprócz akrylowych paznokci to źródło moich największych dochodów.

Widać było, że Drew nic nie rozumie.

- Co masz na myśli?

Ann uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Po raz pierwszy czuła nad nim przewagę.

- Używam go do pedikiuru - oznajmiła wyniośle.

- A co to jest?

- Och, daj spokój. Nie próbuj udawać, że nie wiesz, co to pedikiur. No, dobrze, wyjaśnię ci; pedikiur to manikiur stóp. Robię to samo z palcami u nóg, co z palcami u rąk.

- A co to takiego? - Drew wskazał wzrokiem na solidną, białą drewnianą ławkę, która przypominała jakieś zwierzę, a dokładnie mówiąc żyrafę. Dotknął jej ręką patrząc na Ann. Rozśmieszył go ten przedmiot.

- To jakiś dziwoląg.

- Ten dziwoląg, jak mówisz, to miejsce, na którym siedzę.

Skrzyżował ramiona na piersi, lekko rozstawił nogi i zakołysał się na piętach. Był ubrany jak zwykle w dżinsy i w bawełnianą zieloną koszulkę, która opinała jego muskularną pierś. Boże, ależ on jest przystojny, pomyślała Ann przelitykając nerwowo ślinę.

- A one siedzą na tym krześle z przodu?

- Tak. - Ann odzyskała przytomność umysłu.

- Po obcięciu i opiłowaniu paznokci usuwam stwardniałą skórę z pięt, potem moczę stopy, a później zanurzam je w gorącym perfumowanym wosku. Na koniec nakładam lakier.

- I wtedy szczęśliwą klientkę podłączasz do tej maszyny, tak?

- A kto powiedział, że to musi być kobieta?

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że i mężczyźni mogą być twoimi klientami? - zapytał zaskoczony.

Wyraz jego twarzy był przezabawny. Ann zaśmiała się cicho.

- Uważasz, że to niemożliwe?
- Czy to znaczy, że mogłabyś robić to wszystko ze śmierdzącymi męskimi stopami?

Tym razem roześmiała się głośno.

- Oczywiście. Ich stopy wcale nie pachną gorzej niż stopy niektórych kobiet.

- Mężczyźnie to nie przystoi - przerwał. - Ja chyba bym umarł na tym fotelu.

- Nigdy nie mów nigdy - odparła Ann kpiąco.

Drew spojrział na fotel z niesmakiem.

- W tym przypadku nigdy naprawdę znaczy nigdy.
- Mogę cię uspokoić - powiedziała ze sztuczną słodyczą w głosie - moim dzisiejszym klientem jest kobieta. Byłam jedynie ciekawa twojej reakcji.

- No to już ją znasz.

W oczach Ann rozpalila się iskierka.

- Ale tak czy inaczej bywają i mężczyźni.

Drew prychnął pogardliwie.

Zadzwęczał dzwonek.

- To moja klientka. - Zawahała się przez moment.
- Czy przyszedłeś w jakiejś konkretnej sprawie?
- Tak, czy nie pojechałabyś jutro ze mną do Houston?
- Po co? - spytała bez entuzjazmu.

On jednak nie dał się zbyć.

- Bez szczególnego powodu, po prostu dla towarzystwa.

- No cóż... - Ann myślała szybko.

- A jeśli obiecuję, że będę zachowywać się przyzwoicie, to pojedziesz?

Chwila ciszy.

- No dobrze, pojedę - wyszeptwała. Przynajmniej ma dobre intencje, pomyślała, czując, że serce wali jej jak oszałałe.

- W porządku. Wpadnę po ciebie około ósmej.

- I co o tym sądzisz?

Ann wyczuła w jego głosie gorliwość małego chłopczyka, choć przecież tak się starał zachowywać nonszalancko. Uśmiechnęła się.

- Dokładnie to, co przypuszczasz.

Drew zmarszczył brwi.

- Co to, u diabła, za odpowiedź.

Ann roześmiała się głośno.

- W porządku. To atrakcyjne miejsce. Teraz jesteś zadowolony?

- Całkowicie - powiedział z typową dla niego bezczelnością.

Ann odwróciła oczy, po czym zaczęła z krytycznym nastawieniem przyglądać się okolicy. Nie mogła jednak znaleźć niczego, co zasługiwałoby na krytykę.

Wyruszyli z MacMillan około ósmej. Kiedy Drew zjechał przed jej dom, ona wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć, że zgodziła się na tę eskapadę. Zlekceważyła wpływ, jaki na nią wywierał; jego obecność osłabiała siłę jej woli. Co się z nią stanie, gdy będzie zamknięta z nim przez długie dwie godziny w samochodzie? O czym będą rozmawiać?

Niepotrzebnie się martwiła. Po wymienieniu wzajemnych grzeczności Drew wsunął do magnetofonu kasetę z najnowszymi nagraniami Cher. Ann ciągle była spięta. Zauważała każdy jego ruch, nawet najdrobniejszy. Gdy więc zostawił ją w centrum, gdzie chciała zrobić zakupy, doznała prawdziwej ulgi.

Przyjechał po nią zaledwie pół godziny temu. Teraz byli oboje w jego salonie sprzedazy jaguarów.

- Chciałem, żeby wszystko było tu idealne - szepnął jej wprost do ucha. - Matka ma przyjaciela, którego córka jest dekoratorem wnętrz. - Zatoczył ręką szeroki łuk. - Ten salon to jej dzieło.

Owszem, słyszałam coś o niej, pomyślała Ann.

Owładnęła nią zazdrość, dzika i niepohamowana. Odwróciwszy gwałtownie głowę, usiłowała skupić się na otaczających ją detalach.

Salon, choć ze smakiem ozdobiony złocistym miękkim dywanem, ogromnymi donicami żywych kwiatów oraz obrazami na wykładanych drewnem ścianach, w porównaniu z samochodami wydawał się zupełnie bez wyrazu.

Obok głównego pomieszczenia znajdowały się niewielkie biura. Długi korytarz prowadził, jak się domyślała, z pewnością do biura Drew i dalej do działu obsługi.

Ann starała się nie okazać swego lęku, gdy oparła dłoń na czerwonym jaguarze; miała wrażenie, że przeciąga ręką po aksamicie.

- Przyjemnie, prawda? - powiedział Drew tuż za nią.

Przeszły ją ciarki. Nie odwracając głowy, przysunęła się bliżej samochodu.

- Może wsiądziesz do środka?

Drew otworzył drzwiczki, wokół rozszedł się zapach typowy dla nowego samochodu. Ann wciągnęła głęboko powietrze.

- On nawet pachnie drogo.

Przechyliła głowę i spojrzała na niego.

- De kosztuje taki klejnocik?

- Akurat ten, XJ6 4.0, sprzedajemy za trzydzieści trzy - cztery tysiące dolarów.

Ann przełknęła głośno ślinę.

- A tamten? - wskazała na stalowoniebieski, obracający się w świetle reflektorów.

- To cacko kosztuje ponad czterdzieści tysięcy.

- Wygląda sympatycznie, jeśli można to tak określić.

Nim Drew zdążył odpowiedzieć, podszedł do nich jakiś mężczyzna.

- Skip Howard - przedstawił go Drew. Zamieniwszy z nim parę słów, zwrócił się do Ann:

- Muszę podpisać parę dokumentów.
- Nie przejmuj się mną.
- Dasz sobie radę?

Znowu to serdeczne spojrzenie. Od razu poczuła uderzenie krwi do głowy i szybko zwilżyła językiem wargi.

- Oczywiście.

Jego oczy spoczęły na niej przez chwilę.

- To nie potrwa długo.

Istotnie. W pół godziny później wyszli z salonu i znowu znaleźli się razem w samochodzie. Ann usiadła nieco bokiem, aby móc obserwować profil Drew. Jej wzrok spoczął jednak na jego dłoniach; przyglądała się, jak bez najmniejszego wysiłku obracał kierownicą. Każdy palec zdawał się promieniować energią i zrećnością. Zastanawiała się, jaki mógłby być dotyk tych palców, gdyby pieściły jej nagie ciało, odsłaniając jego ukryte sekrety.

- Co robiłeś, kiedy ja zostałam na zakupach?
- spytała niespodziewanie.

Drew odwrócił ku niej głowę i rzucił szybkie spojrzenie mrużąc oczy.

- Spotkałem się z moim księgowym.
- Hm, to brzmi interesująco.

Roześmiał się, po czym zdjął rękę z kierownicy i położył ją na swoim udzie, które wydawało się twarde jak skała.

- Wcale nie. To brzmi diabelnie nudno.

Jego śmiech przydał ciepła atmosferze koleżeństwa, jaka między nimi panowała. Ann przekrzywiła głowę.

- I rzeczywiście było nudno?
- Nie, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że staram się zdemaskować sztuczki Pollarda.

- Tima Pollarda?
- Właśnie jego.
- Jakie sztuczki? - Ann wpatrywała się w niego osłupiała. - Przecież to jeden z głównych filarów naszego miasta. I jeśli się nie mylę, przyjaciel twojej rodziny.
- Masz rację. Moja matka chodziła z nim do szkoły i uważała go za bliskiego przyjaciela. Nie za oszusta, ale dobrego przyjaciela.
- A czy to nie on jest diakonem w naszym kościele?
- Owszem, zawsze siedzi w pierwszym rzędzie - głos Drew przepojony był sarkazmem.
- Chyba musiał zrobić ci coś strasznego, skoro tak o nim mówisz.
- Jeśli moje podejrzenia okażą się słuszne, sama to zrozumiesz.
- Trudno mi to sobie wyobrazić. Wygląda na zbyt bojaźliwego, by zdobyć się na coś takiego. - Przypomniała sobie twarz Tima Pollarda i pokręciła głową. Zawsze uważała go za bardzo łagodnego człowieka.
- Jesteś pewien, że się nie mylisz?
- Może nie powinienem ci tego mówić, ale przypuszczam, że ukradł pieniądze z kasy.
- Chyba żartujesz?
- Drew spojrzał na nią ostro.
- Czy robiłbym sobie żarty z czegoś takiego?
- Nie, chyba nie.
- Po prostu je zdefraudował, najzwyczajniej w świecie.
- Ale jak? Jak mogło mu się to udać przy twoim ojcu? Trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś taki jak John MacMillan nie czuwał nad swoimi interesami.
- Mnie też.
- Pomijając wszystkie winy twojego ojca - dodała Ann bez osłonek - zawsze podziwiałam jego zdolności do interesów.

- Zdaje się, że całkowicie zaufała Timowi Pollardowi.
Ann westchnęła ciężko.

- Muszę przyznać, że jestem zszokowana.

- Czy myślisz, że ja dobrze się z tym czuję? Sądziłem, że wszystko będzie w doskonałym stanie, że uporządkowanie spraw majątkowych będzie zwykłą formalnością.

Ann pomyślała, że jej życie było o wiele prostsze niż jego.

- Przypuszczam, że ojciec był zadowolony z siebie i nie widział powodu, by nie wierzyć Pollardowi. Nie wiem. Tak czy inaczej, dzisiaj przywiozłem ze sobą całą stertę materiałów i kazałem je przejrzeć mojemu księgowemu. Może on potwierdzi moje podejrzenia.

- I co wtedy zrobisz?

Drew roześmiał się gorzko.

- Każę aresztować tego łajdaka, po prostu.

Ann nie miała wątpliwości, że by to zrobił. Zadrzała.

- Co się stało? - spytał Drew.

- Nie, nic - odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem.

- Chyba nie myślisz, że dam mu klapsa i puszcze wolno?

Ann z rozwagą dobierała słowa.

- Nie, oczywiście. Tylko że to będzie straszny skandal. Pomyślałam o jego żonie i dzieciach.

Na policzkach Drew widać było wyraźnie napięte mięśnie.

- Powinien był zastanowić się nad tym wcześniej.

- Wiem - odpowiedziała Ann ciągle ponurym tonem.

- No, a ty co robiłaś? - spytał zmieniając temat.

- Co działałaś?

- Kupiłam parę rzeczy.

- Ubrania?

- Hm.

Powiódł powoli wzrokiem po jej sylwetce. Oczywiście mogła się mylić, ale raczej była pewna, że jego spojrzenie zatrzymało się na jej piersiach, gdy spytał:

- Jaki nosisz rozmiar?

Dostrzegła płomień w jego oczach i z trudem złapała powietrze.

- Trzydziesty ósmy, poza... - urwała, przerażona tym, czego o mały włos nie dodała.

- Stanikiem - powiedział miękko.

Ann nie mogła złapać oddechu.

- Zboczyłeś z tematu.

- Wiem.

Odwróciła od niego oczy i spojrzała przez okno, starając się odzyskać równowagę.

Po chwili Drew odezwał się chłodniejszym tonem:

- No więc co kupiłaś?

Ann poczuła się słaba. Oparła się bezwładnie o drzwi.

- Dla siebie nic.

- A dla kogo?

- Dla dziecka.

- Dla dziecka? Czyjego?

- Mojego.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Twojego! - Drew nie potrafił ukryć zdumienia.
- Co ty wygadujesz?

Przez twarz Ann przemknął uśmiech. Kiedy zdradziła nowinę o dziecku, nie zdawała sobie sprawy, jak to mogło zabrzmieć. Co prawda w tych czasach samotne kobiety nierzadko miały dzieci i chociaż nie zawsze było to całkowicie akceptowane przez społeczeństwo, to jednak nie ciążyło już na nich takie piętno jak kiedyś.

Ale, jak podejrzewała, nie to wprawiło go w takie osłupienie, ale wiadomość, że miała dziecko i nic mu o tym nie powiedziała.

- Kupiłam ubranka dla dziecka, które być może dostanę - wyjaśniła przerywając ciężką ciszę.

Drew w dalszym ciągu patrzył na nią tak, jakby popełniła jakieś przestępstwo. Jego niebieskie oczy były poważne i badawcze.

- Nie patrz tak na mnie - zwróciła się do niego Ann.
- Dostaniesz? Powiedziałaś: dostanę? - Nie ukrywał swego zniecierpliwienia.

- Jeśli zechcesz dopuścić mnie do głosu, to zaraz wszystko ci wyjaśnię. - Zniecierpliwienie Ann było również duże.

- Słucham cię.
 - Mam zamiar zaadoptować dziecko. - Uśmiechnęła się znowu. - To znaczy, już złożyłam wszystkie papiery.
 - Chyba nie mówisz poważnie.
- Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Zapewniam cię, że najpoważniej - odrzekła chłodno.

- To najgłupszy pomysł, jaki kiedykolwiek słyszałem.

- Nie przypominam sobie, żebym prosiła cię o opinię.

- Na pewno nie przemyślałaś tego do końca.

Ann zacisnęła zęby. Jej oczy płonęły.

- Oczywiście, że przemyślałam. W moim przypadku adopcja jest najlepszym rozwiązaniem.

- Moim zdaniem to ogromne ryzyko - ciągnął szorstko. - Wiem, wiem, dzieci poddawane są selekcji, ale na koniec zawsze są problemy.

Ann przeszył zimny dreszcz.

- Nie zgadzam się z tobą.

- Jeśli chcesz mieć dziecko, to dlaczego, u diabła, nie wyjdiesz za mąż i nie urodzisz własnego?

Jej twarz zszarzała.

- Dlaczego nie zajmiesz się własnymi sprawami?

- Nie mam żadnych własnych spraw - powiedział cofając rękę z kierownicy i przesuwając palcami po włosach.

- Nic mnie nie obchodzi, czy je masz, czy nie.

- Głos drżał jej z wściekłości.

Drew ponownie skierował na nią długie, badawcze spojrzenie.

- Ty naprawdę mówisz poważnie?

- Naprawdę.

- Ale dlaczego?

- Chcę mieć dziecko, po prostu.

- Nie możesz mieć własnego? To znaczy, nie jesteś zdrowa?

Jego pytanie spadło na nią z delikatnością kija do baseballu i spowodowało, że straciła kontrolę nad sobą. Jej policzki poczerwieniały.

- Daj mi święty spokój!

Popatrzył na nią dziwnie, potem uśmiechnął się i wreszcie parsknął śmiechem.

- Nadal uważam, że oszalałaś, ale jeśli to ma cię uszczęśliwić...

Ann patrzyła prosto przed siebie. Jak on śmiał traktować ją w ten sposób! Zrobił z niej zupełną idiotkę. Z trudem powstrzymała się, by nie wyciągnąć ręki i nie trzasnąć go w tę zadowoloną z siebie gębę.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego.

- Posłuchaj...

- Daj spokój. Nie sądzę, żebyśmy mieli sobie jeszcze cokolwiek do powiedzenia.

Drew zaklął głośno, po czym odwrócił od niej głowę i nie powiedział już ani słowa.

Ann podnosiła i opuszczała ramiona, aż wreszcie prawą ręką zaczęła rozmasowywać sobie lewe ramię. Już dawno nie była tak wyczerpana. Jej zmęczenie miało źródło częściowo w przepracowaniu, częściowo zaś w stresie.

Choć była dopiero czwarta, ostatnie klientki już wyszły. Ann została sama; Sophie wybrała się do kawiarni po drugiej stronie ulicy, żeby coś przekąsić. Cztery pudła z zamówionymi towarami przywieziono już wcześniej; Sophie obiecała pomóc w rozpakowaniu i ustawieniu wszystkiego na półkach.

- Uff - sapnęła Ann, rzuciwszy przelotnie okiem na pudła wepchnięte do gabinetu.

Podniosła się z za swojego stolika, przeciągnęła, po czym dalej rozmasowywała ramiona. Ależ czuła się zmęczona! Pogoda była straszna, przez cały dzień padał deszcz.

Była zupełnie roztrzęsiona, a przez długie godziny musiała zmuszać się do prowadzenia żartobliwych

pogawędek z klientkami. Po całym dniu czuła się zupełnie wypalona.

I kogóż próbowała oszukać? Czuła się tak okropnie, od kiedy Drew uznał ją za szaloną tylko dlatego, że chciała adoptować dziecko.

Niech go licho porwie!

Minęły już trzy dni, a ona wciąż nie potrafiła mu wybaczyć. Miała poważne wątpliwości, czy kiedykolwiek jej się to uda. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, powtarzała jej zawsze matka. Była przekonana, że tym razem też tak będzie.

W jego słowniku nie istniały takie słowa jak dom i rodzina. I dziecko... To było to trzecie słowo. Mimo furii, jaka ją przepelniała, łzy napłynęły jej do oczu. Czy on musi być taki przystojny? Taki pełen uroku? I do tego taki gburowaty?

Otarła łzy, wyprostowała się i ruszyła ku pudłom. Choć bardzo chciała pójść do domu i zanurzyć się w wannie, uznała, że lepiej będzie, jeśli przestanie roztkliwiać się nad sobą i zabierze do pracy.

No i spojrzysz prawdzie w oczy. Drew MacMillan nigdy nie był częścią jej życia, i nigdy nią nie będzie. Musiała się z tym pogodzić.

Miała właśnie przejść do drugiego pokoju, gdy usłyszała dzwonek oznajmiający, że ktoś otworzył drzwi wejściowe. Ponieważ na Sophie było jeszcze za wcześnie, zatrzymała się w pół kroku i odwróciła się.

- Jak się masz, siostrzyczko.
- Peter?
- We własnej osobie.

Ann zamrugnęła powiekami, chcąc się upewnić, że jej brat nie był zjawą. Rzeczywiście, stał przed nią, we własnej osobie. Nie widziała go od wielu miesięcy. Nic się nie zmienił, może tylko trochę przytył. Poza tym jego orzechowe oczy miały nadal to szkliste, nieufne

spojrzenie, a ciemne włosy jak zawsze opadały w lokach na czoło. Nieskazitelnie białe zęby stanowiły jego największy walor, ale dopóki się nie uśmiechał, nie było ich widać.

- Co... cię znowu sprowadza?

- To tak witasz swego wytęsknionego brata?

- Wolalabym inaczej - powiedziała martwym tonem, czując, że do oczu znowu napływają jej łzy.

- Powinnam wziąć cię w objęcia, ale to przez ciebie jest to niemożliwe, mam rację?

Prychnął lekceważąco.

- Nie zaczynaj od nowa. Nie jestem w nastroju.

- Czego chcesz? - spytała chłodno.

- Pieniądzy.

- Ależ jestem głupia. Przecież po nic innego byś nie przyjechał.

Peter ruszył w jej kierunku.

- Jestem w tarapatkach.

- Stój! - krzyknęła. - Nie zbliżaj się do mnie.

Peter wykrzywił usta. Nim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, Ann dodała szybko:

- To źródło wyschło, Peter.

- Do diabła. Potrzebuję pieniędzy na spłacenie pożyczki.

- Nie myślałeś nigdy o pójściu do pracy?

- Do pracy! - Peter wypowiedział to słowo tak, jakby oznaczało jakąś straszna chorobę. - Nie mam na to czasu. Pieniądze są mi potrzebne zaraz.

- Ode mnie nie dostaniesz.

- Posłuchaj... - Zrobił jeden krok w jej stronę.

- Ja nie mam pieniędzy, Peter. Ale nawet gdybym miała, też bym ci nie dała. Całą swoją gotówkę włożyłam w ten zakład. - Wskazała na gabinet.

- Musisz szukać pomocy gdzie indziej.

Jego twarz przybrała groźny wyraz.

- Chyba wiem, od kogo mogłabyś dostać pieniądze.
- Co ty powiesz, od kogo? - spytała z sarkazmem.
- Od twojego chłopaka - powiedział z pogardą.
- Mojego chłopaka? - powtórzyła martwo.
- Owszem, od Drew MacMillana.

Zaniemówiła. Po chwili ocknęła się i wybuchnęła śmiechem.

- Ten, kto sprzedał ci tę informację, oszukał cię.
- Nie sądzę. On ma pieniądze jak lodu. Weź od niego.

Ann oddychała gwałtownie.

- Nie słyszysz, co mówię? Skąd przyszło ci do głowy, że on dałby mi pieniądze?

- Po mieście krąży plotka, że jesteś jego ostatnią zdobyczą. I ja w to wierzę.

Ann z trudem wydusiła z siebie kilka słów.

- Jak długo... jak długo jesteś w mieście?
- Wystarczająco.

- Posłuchaj i zapamiętaj sobie: Drew MacMillan jest ostatnią osobą, do której zwróciłabym się kiedykolwiek o pieniądze. A nawet gdybym go poprosiła, i tak by mi nie dał.

- Do diabła, nie jestem w nastroju na zabawę w ciuciubabkę.

Rozdrażnienie ustąpiło. Pozostało w niej jedynie współczucie i odrętwienie.

- Ja też. Budzisz we mnie wstręt. Idź stąd. Po prostu zniknij mi z oczu.

- Nie pójdę, póki nie dostanę tego, po co przyszedłem.

- Na litość boską...

Peter ruszył w jej stronę z twarzą jak chmura gradowa.

Ann nie była w stanie zrobić ani kroku; stała jak sparaliżowana. Serce waliło jej jak młotem, a płuca walczyły o trochę tlenu.

Zadzwęczał dzwonek.

Po raz pierwszy w życiu bała się swego brata. Poczowała się słaba.

- Ann, co, u licha, się... - zaczęła Sophie, spoglądając to na Ann, to na na jej brata.

- Przyjdę później - rzucił krótko Peter. Po czym nagle odwrócił się i przeszedł obok Sophie. Trzasnął drzwiami, aż zatrzęsły się ściany.

- Uff! - wykrzyknęła Sophie z oczami wielkimi jak spodki. - Kto to był?

Ann przygryzła dolną wargę, żeby ukryć jej drzenie.

- Chyba lepiej, żebyś nie wiedziała.

- Chcę wiedzieć.

Ann westchnęła głęboko.

- To był Peter - powiedziała wreszcie.

- Twój brat?

- Mój brat.

- Boże drogi. Dobrze się czujesz?

Ann skinęła głową bez słowa.

- Nie powiesz mi, o co chodzi?

- Och, Sophie, to długa i rozdzierająca serce historia.

Wszystko sprowadza się do tego, że od kiedy nie może grać w piłkę, ciągle popada w jakieś tarapaty i nie jest zdolny utrzymać się dłużej w żadnej pracy.

- Przerwała na chwilę i spojrzała tępo przed siebie.

-I pomyśleć, że kiedyś był takim cudownym dzieckiem.

- Niestety, z cudownych dzieci wyrastają czasami nieudacznicy. Czego od ciebie chciał?

- Pieniądzy, a ja mu odmówiłam.

- Nie można powiedzieć, żebyś miała udany tydzień.

Najpierw Drew doprowadził cię do furii, a teraz ten.

Ann początkowo nie zamierzała opowiadać Sophie o dniu spędzonym w towarzystwie Drew. Kiedy jednak przez dwa dni chodziła przybita, Sophie zdołała wydobyć z niej wreszcie prawdę.

- Ach, nic sobie z nich nie rób. Po prostu gwizdź na nich. - Sophie wzruszyła ramionami.
- Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką można sobie wyobrazić.
- Tak myślisz?
- Ja to wiem. - Ann roześmiała się przez łzy.
- To chodź tutaj, ty wariatko, i uściśnij mnie.

scan-dalouis

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Czy to wszystko, panie MacMillan?

Drew wziął do ręki bukiet złożony z dwunastu czerwonych róż i uśmiechnął się do swej dawnej, emerytowanej teraz, nauczycielki, która pracowała na pół etatu w kwiaciarni.

- Na dzisiaj wszystko, pani Epps, ale jestem pewny, że niedługo zobaczymy się znowu.

Roześmiała się.

- Wy, młodzi chłopcy, wszyscy jesteście tacy sami. Codziennie nowa dziewczyna.

- Raczej trudno mnie zaliczyć do młodych chłopców, ale dziękuję za komplement, pani Epps.

W kilka minut później Drew siedział już w swoim jaguarze i spoglądał na bukiet na siedzeniu obok.

Czy przyjmie od niego te róże? Czy będzie chciała z nim rozmawiać? Tym ostatnim przejmował się bardziej niż kwiatami.

Był jej winien przeprosiny, najzwyczajniej w świecie. Ale nie tylko dlatego kupił kwiaty. Gdziekolwiek się zwrócił, wszędzie widział twarz Ann. I pamiętał jej usta, jakby stworzone do pocałunków. Gdy raz poczuł ich smak, wiedział, że nie zrezygnuje.

No więc dlaczego zachował się jak gbur i wdał się z nią w sprzeczkę na temat adopcji. Marzyła o dziecku? To niech je sobie ma. To przecież nie jego sprawa.

Nie chciał się z nią żenić, ale z całą pewnością bardzo jej pragnął.

Po kłótni usiłował przekonać samego siebie, że nie zależy mu na Ann, że się bez niej obejdzie. Zajmując się interesami ojca i swoimi, nie miał ani chwili wytchnienia, ale długo nie wytrzymał.

Pragnał Ann tak mocno, że czuł się prawdziwie chory, miał kłopoty z żołądkiem. Jednocześnie irytowało go to, że traci panowanie nad sobą. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek coś tak przeżywał. Początkowo sądził, że to jedynie przelotny kaprys, że opętanie nią przygaśnie i przejdzie. Nic z tego. Przede wszystkim odkrycie, co taίło się pod tą spokojną maską, jaką nosiła, stanowiło dla niego prawdziwe wyzwanie, a on szczył się przeciw tym, że nigdy nie cofał się przed żadnym wyzwaniem rzuconym mu przez los. Mimo to tym razem skapitulował z łatwością słysząc, że dziecko ma być jej nową zabawką.

Skierował jaguara w kierunku domu Ann, czując się coraz lepiej.

Ann huczało w głowie, jakby ktoś w niej walił na dwóch ogromnych bębnach. Kiedy weszła do domu, marzyła tylko o jednym: odpocząć.

Rzuciła torebkę na łóżko, a siatkę z zakupami postawiła na podłodze. I wtedy właśnie zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Rozejrzała się wkoło. Serce podeszło jej do gardła.

- Co ty tu robisz? Czego jeszcze chcesz? - spytała, jak się jej zdawało, zdecydowanym tonem.

Jej brat siedział w mroku na kanapie, w nonszalanckiej pozie, z nogami wyciągniętymi przed siebie. O nie, bardzo się mylił, jeśli sądził, że ugnie się przed nim. Nie zdoła jej teraz sterroryzować, powinien był zdać sobie z tego sprawę już w zakładzie. Mimo to Ann trochę się bała. Przestań zachowywać się niemąd-

rze, złażała samą siebie. To przecież twój brat, na litość boską, nie ma zamiaru zrobić ci krzywdy.

- No, wreszcie dotarłaś do domu - powiedział Peter, gdy weszła do pokoju.

- Pytałam, czego chcesz? - Jej głos był zimny i odpychający.

- Tego samego, po co przyszedłem do zakładu.

Ann uniosła dumnie głowę.

- Usłyszysz to samo, co wcześniej. Nie mam pieniędzy, a nawet gdybym miała, nie dałabym ci ani grosza.

Peter podniósł się z miejsca i ziewnął.

- Zobacz, jak ty wyglądasz. Nie ogolony. Brudny. Co ty wyprawiasz? Dlaczego sam wyrządzasz sobie krzywdę? Potrzebujesz fachowej pomocy.

- Nie przyszedłem tutaj, żeby wysłuchiwać twoich kazań - syknął przybliżając się do niej. - Mówiłem, żebyś poprosiła Drew. On ma u mnie dług.

- Ty szalony, nieszczęsny biedaku! - W jej oczach pojawił się wyraz współczucia. - Na jakim ty świecie żyjesz? Ludzie tacy jak Drew nikomu nie są nic winni.

- Jeśli nie dostanę tych pieniędzy, znajdę się w kłopotach.

- Och, Peter - westchnęła smutno - ile razy ja już to słyszałam?

- Teraz to zupełnie co innego - zapewnił ją nieśmiałym, wręcz przymilnym tonem.

Ann modliła się w duchu o siłę. Peter oszukał ją już tyle razy, zranił tak głęboko, że nie mogła mu ustąpić. Jeśli zawsze będzie wyciągać go z tarapatów, on nigdy niczego się nie nauczy.

- Ann...

- Idź do pracy, Peter. To jedyne rozwiązanie. Powiedz im, że spłacisz dług trochę później.

- Do diabła, czy nie rozumiesz, że nie mam na to czasu? Muszę mieć pieniądze jeszcze w tym tygodniu.

- Ja nie ustąpię, Peter - szepnęła, mrugając szybko powiekami, by się nie rozplakać.

- Gdzie masz torebkę? - Jego rozzłoszczone oczy lustrowały pokój. Kiedy dostrzegł ją na kanapie, rzucił się w jej kierunku.

- Co ty wyprawiasz! - krzyknęła Ann biegnąc za nim.

Gdy go dopadła, on, otworzywszy torebkę, zaczął w niej szybko grzebać.

- Przestań! - szarpnęła go za ramię. - Już ci mówiłam, że nie mam pieniędzy.

Oczy błyszczały mu niebezpiecznie.

- Gdzie książeczka czekowa?

- O nie!

- Tak! - Cisnął torebkę, schwycił Ann i potrząsnął nią.

- Peter... proszę cię! - krzyknęła znowu.

- Co tu się dzieje, do diabła!

Oboje zamarli na dźwięk głosu Drew. Byli tak pochłonięci sprzeczką, że nie usłyszeli, jak otworzyły się drzwi.

- Nie dotykaj jej - ostrzegł Drew.

Stanowczy głos nadawał słowom o wiele bardziej groźny ton, niż gdyby krzyczał.

Peter chwycił Ann jeszcze mocniej.

- Wynoś się, do cholery!

Drew cisnął na bok kwiaty i rzucił się na Petera. Uwolniwszy Ann, przyparł go do ściany.

- Zostaw go, Drew!

Drew odepchnął Petera tak, jakby to był worek śmieci. Ale nie odwrócił się, lecz dalej stojąc do niego przodem, mówił z lodowatą uprzejmością:

- Jeśli jeszcze kiedykolwiek dotkniesz swojej siostry, pożałujesz.

- Nie myśl, że mnie przestraszysz - odparł Peter drwiąco.

Ann jednak wiedziała, że był przerażony. Gwałtownie przełknął ślinę, a twarz miał pokrytą potem. Nie byli to równi przeciwnicy.

- Co ty tu w ogóle robisz? - spytał Drew. - Mam nadzieję, że nie przyszedłeś po pieniądze?

- Właśnie tak - wtrąciła Ann. - Szuka pieniędzy na spłacenie swoich podejrzanych długów. Powiedziałam, że nie mam, ale do niego to nie dociera.

- To może teraz dotarło, co? Zabieraj się stąd!

Peter spochmurniał.

- Tylko nie próbuj mi rozkazywać! Jedynie Ann może mnie stąd wyrzucić.

- Radziłbym ci zastanowić się nad tym, co mówisz - odparł Drew spokojnym głosem, ale z ukrytą groźbą.

- Skończcie już! Przestańcie w tej chwili! - Ann nie widziała nic przez łzy. Próbowwała obetrzeć je z twarzy energicznym ruchem.

Peter spojrział krótko na nich oboje, po czym skierował się w stronę wyjścia i trzasnął drzwiami.

Ann nie była w stanie nic powiedzieć ani wykonać żadnego ruchu. Siły zupełnie ją opuściły. Po twarzy spływały łzy.

- Nie płacz - poprosił Drew, po czym podszedł do niej tak blisko, że czuli nawzajem swój oddech. Drew nie dotknął jej jednak, tylko patrzył na nią przenikliwie. Ann dostrzegła w jego oczach nagą żądzę. Zadrzała. Po chwili znalazła się w jego ramionach.

- Tss, nie płacz - poprosił. Gdy westchnęła i przytuliła się mocniej, jego usta, przesuwając się wolno ale chciwie po policzku i spijając łzy, dotknęły wreszcie jej ust.

- Drew - bąknęła słabo Ann, na wpeł opierając się, na wpeł poddając jego gorączkowemu pragnieniu; on jednak nie słuchał. Zajęty był wyciąganiem bluzki z jej dzinsów. Chciał dotknąć nagiego ciała. Usłyszała, że westchnął głęboko, gdy odpiąwszy klamerkę, dotknął jej piersi. Były tak pełne, że nie zdołał zamknąć ich w swych dłoniach.

Ann opadła bezwładnie w jego objęcia, poddając się pieśczoce. Przyciskał ją tak mocno do siebie, że czuła każdy centymetr jego ciała.

- Boże, jak ja cię pragnę - jęknął. - Chcę cię zaraz.

Ja też ciebie chcę, krzyknęła w duchu, ale nie tak, nie w tym gorączkowym podnieceniu.

- Nie, Drew, nie mogę. - Ann wyrwała mu się z objęć. - Nie, nie mogę - westchnęła. - Proszę cię, nie tak.

Potrzebowała otuchy, pocieszenia, chciała czuć wokół siebie jego kojące ramiona. Ta chwila była jakby stworzona do tego, ale do czego innego zupełnie się nie nadawała. Pożądanie było tu nie na miejscu. Nie tego oczekiwała od Drew. Nie pospiesznego, bezsensownego tarzania się po dywanie. A dla niego tylko to miało sens.

Puścił ją. Jego ramiona były naprężone i twarde jak stal; mięśnie drżały.

- Do diabła, Ann, ja... - nie był w stanie dokończyć.

Ich spojrzenia zwały się ze sobą. W powietrzu zawisło wiele pytań, trudnych i niewygodnych. Pytań, których żadne z nich nie wypowiedziało.

- Nie musisz nic mówić - szepnęła. - Ja wszystko rozumiem. Proszę cię, idź już.

- Czy na pewno dobrze się czujesz? - spytał wreszcie Drew ochryplym głosem, z trudem chwytając powietrze.

- Tak, wszystko w porządku.

Przez długą chwilę nie spuszczał z niej wzroku.

Ona zaś przeniosła spojrzenie na wzruszający bukiet, który, jak sobie mgliście przypominała, Drew rzucił tuż po wejściu.

- Dziękuję... za kwiaty - wyjąkała, gdy znalazł się przy drzwiach, zła na niego, że ją zostawia, świadoma jednak tego, że nie było innego wyjścia.

Odwrócił się; po jego ustach przemknął uśmiech.

- Wyglądają trochę żałośnie, prawda?

- Odżyją w wodzie.

Zapadła pełna napięcia cisza.

- Dlaczego... je przyniosłeś? - spytała Ann ledwie słyszalnym głosem, słabnąc pod jego spojrzeniem.

- Mam na myśli kwiaty.

Uśmiechnął się kpiąco, w sposób, który tak bardzo ją wzruszał.

- Chciałem cię w ten sposób przeprosić za to, że wtedy zachowałem się jak skończony osioł.

Ann spojrzała zaskoczona. Drew chciał ją przeprosić? Wprost nie mogła w to uwierzyć.

- Myślę, że oboje straciliśmy panowanie nad sobą. Po prostu zapomnijmy o tym, dobrze?

- Ale czy na pewno dobrze się czujesz? - spytał powtórnie.

Czuła, że jego ciało nęciło ją, pociągało. Starala się trzymać ręce przy sobie.

- Na pewno.

Nieprawda. Właściwie to nie była pewna niczego, powiedziała do siebie samej już później, leżąc w łóżku i patrząc w sufit. I nigdy nie będzie niczego pewna, dopóki Drew pozostanie w MacMillan.

Nowe ukłucie bólu przeszło jej skronie. Nie miała jednak siły, by podnieść się i wziąć jakiś proszek. Leżała więc nadal nieruchomo, poddając się fali targających nią uczuć. Co to było? Zmieszanie? Żądza?

Pragnienie? Które określenie pasowało do tego, co czuła do Drew?

Nazwa, którą tak bardzo starała się pominąć, mimo woli przyszła jednak jej na myśl. Miłość? Poczwała ostre ukłucie. Nie, wykluczone. Drew był dla niej jedynie pokusą, zakazanym owocem. Jeśli kiedykolwiek się zakocha, to na pewno w kims, kogo cele i styl życia będą jej odpowiadać całkowicie i bez zastrzeżeń.

scan-dalouis

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ann była pod urokiem sympatycznego sposobu bycia Drew i jego kpiącego uśmiechu. Po prostu delektowała się czasem spędzonym razem z nim. Od czasu potyczki z Peterem była z nim na kolacji, wybrali się też do kina w pobliskim miasteczku. Choć nie ośmielił się już więcej jej dotknąć - widać było, że wyraźnie tego unikał - napięcie między nimi utrzymywało się nadal, gotowe bez ostrzeżenia wybuchnąć wielkim płomieniem.

Ta zażyłość zatrzażała ją i podniecała. Nigdy dotąd budzenie się rano nie stanowiło takiej radości. Ale nie tylko znajomość z Drew przyczyniała się do tego szczęścia; Ann odbyła też w tym czasie podróż do Austin, zaproszona na rozmowę wraz z innymi ubiegającymi się o adopcję.

Nie powiedziała o tym Drew; nie było to konieczne, ponieważ on pojechał na dwa dni do Houston. Zresztą nie chciała, by cokolwiek zepsuło jej tę podróż. Nigdy nie zapomni tego, co tam przeżyła.

Spotkanie rozpoczęło się od przedstawienia zespołu agencji adopcyjnej. Największe wrażenie wywarło jednak na Ann zwiedzanie placówki, szczególnie zaś skrzydła położniczego.

- Proszę dobrze się przyjrzeć - powiedziała Dorothy Sable z uśmiechem - ponieważ jest tu pani ostatni raz.

- Dlaczego? - Ann spytała zatrwożona.

- Żeby wykluczyć prawdopodobieństwo spotkania się z naturalną matką pani dziecka.

Gdy Dorothy powiedziała „pani dziecka”, Ann ogarnęło pełne paniki podniecenie.

Następnie wszyscy wrócili do sali, gdzie zadawano pytania i udzielano na nie odpowiedzi. Był to naprawdę wspaniały dzień, w czasie którego Ann upewniła się, że postąpiła słusznie.

Jedynym cieniem na jej życiu był Peter. Choć próbowała w ogóle się nim nie przejmować, przez cały czas myślała o nim z niepokojem. To przecież jej brat, jej jedyny krewny. Już sama myśl, że ktoś mógłby zrobić mu krzywdę, wywoływała głęboki ból i wyrzuty sumienia. Czy rzeczywiście dobrze postąpiła, odmawiając mu pomocy? Drew zapewniał ją, że tak. Mimo to...

Teraz, kiedy grzebała w swej torbie w poszukiwaniu księgi rachunkowej, myśli o bracie powróciły znowu. Z powodu pogrzebu kolejnego szanowanego obywatela miasta zamknęła dziś salon wcześniej. Dwie klientki, zapisane na popołudnie, odwołały wizyty.

Wieczorem była zaproszona na kolację w domu Drew. Czują, jak powoli narasta w niej napięcie. Ale najpierw trzeba zrobić to, co najważniejsze, upomniała samą siebie. Była pewna, że zabrała księgę z zakładu do domu.

Gdy wyjąwszy wszystko z torby nie znalazła jej, przypomniała sobie, że zostawiła ją chyba na biurku w gabinecie.

- Cholera - burknęła pod nosem, uprzytomniwszy sobie, że musi wrócić do salonu.

Gdy otworzyła drzwi, w pierwszej chwili nie dostrzegła nic podejrzanego. Zaniepokoił ją jedynie jakiś dziwny spokój. Stała w progu i zapaliła światło.

- Nie! - jęknęła.

Wnętrze salonu przypominało spustoszony wojną Bejrut. Można było odnieść wrażenie, że intruza nic

nie hamowało przed okrutną zemstą. Gdy tak stała, bezradna, łzy zalewały jej twarz. Kto to mógł zrobić? Kto mógł doprowadzić do takiego zniszczenia? I po co?

Mimo woli pomyślała o własnym bracie. O Boże, nie, spraw, żeby nie on był za to odpowiedzialny! Jeśliby się okazało, że to jednak on, nie potrafiła sobie wyobrazić, jak zniesie taki cios.

Stwierdziwszy wreszcie, że rozczulanie się nad sobą nic nie da, zmusiła się, by przejść przez pokój do telefonu. Otarła łzy, zadzwoniła na policję, a potem do Drew. Po omacku poszukała krzesła i usiadła na nim ze ściśniętym gardłem. Łzy, które do tej pory za wszelką cenę starała się powstrzymać, płynęły jej teraz strumieniem.

- Och, Drew, ty chyba nie wiesz, co mówisz?

Drew stał obok kanapy i bezradnie przyglądał się, jak matka traci panowanie nad sobą.

- Na razie nie mam jeszcze dowodów - powiedział siadając przy niej - ale myślę, że już niedługo je zdobędę.

- Ale... Tim Pollard... przecież to przyjaciel rodziny.

- Wiem, mam - odparł. Ujął jej zimną dłoń i mocno ją ścisnął.

Nie zamierzał wspominać o niczym przed uzyskaniem dowodów. Janet jednak poczuła się już trochę lepiej i poszła do kosmetyczki. I właśnie tam usłyszała tę plotkę. Zrelacjonowała mu, czego się dowiedziała, a on nie miał innego wyjścia, jak tylko uczciwie wyjawić wszystko.

- Będę się modlić, żeby to nie była prawda - powiedziała słabym głosem.

- Ja też, mam, ja też.

- Czy Ann będzie dziś na kolacji? - spytała zmieniając temat.

Drew wstał, spojrzął na nią z góry i uśmiechnął się.

- Owszem.

- To dobrze. Zawsze ją lubiłam. Porządna z niej dziewczyna. Tyle przeszła w życiu.

Służąca pojawiła się w drzwiach akurat w tym momencie, kiedy Drew zamierzał odpowiedzieć matce.

- Panie MacMillan, telefon do pana. Ta pani mówi, że to pilne.

- Dziękuję, Maggie - odrzekł Drew z niezadowoloną miną i podszedł do aparatu. - MacMillan.

- W miarę słuchania jego twarz robiła się coraz bledsza. - Zaraz tam będę.

- Co się stało? - spytała matka.

- Przykro mi, ale Ann nie będzie dziś na kolacji - powiedział krótko. - Włamano się do jej zakładu.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła Janet. - Kto w MacMillan mógłby zrobić coś takiego?

- Nie wiem - odrzekł Drew zimno. - Już ja postaram się go odszukać albo przypilnuję, żeby policja to zrobiła. - Pochylił się nad matką i pocałował ją w policzek. - Zadzwoń do ciebie później.

Drew znalazł się w zakładzie jednocześnie z policją. Ann stała przy drzwiach z twarzą zalaną łzami. Pragnął wziąć ją w ramiona, ale oczywiście nie mógł sobie na to pozwolić. Ujął więc jej słabą, chłodną dłoń i ogrzał ją w swoich rękach.

- Ach, Drew - wyszeptała drżącymi ustami. - Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

- Spokojnie, nie denerwuj się.

- Jestem inspektor Riley. Chciałbym zadać pani kilka pytań.

Drew puścił jej rękę i przedstawił się młodemu,

zielonookiemu mężczyźnie. Spojrzał na niego z zainteresowaniem.

- Miło mi pana poznać, panie MacMillan. Jestem pańskim wiernym kibicem. Uważam pana za wyśmienitego kierowcę.

- Dziękuję - odrzekł Drew ze zniecierpliwieniem, które kazało inspektorowi domyślić się, że nie pora teraz na komplementy.

- Przepraszam - powiedział czerwieniąc się. - Pani Sinclair, czy stwierdziła pani brak czegoś?

- Nie.

- Czy domyśla się pani, kto mógł to zrobić?

Drew zauważył, że zawahała się przez krótką chwilę.

- Pokłóciłam się z moim bratem. - Westchnęła ciężko.

Drew zdawał sobie sprawę, ile musiało ją kosztować rzucenie podejrzenia na Petera. Podobnie jak Ann, również on nie mógł uwierzyć, że jego przyjaciel z dzieciństwa byłby w stanie dopuścić się tak okrutnej zemsty. Pamiętał jednak, jak brutalnie zachowywał się wobec własnej siostry. Chyba jednak był zdolny do wszystkiego. Gdyby więc mimo wszystko on okazał się sprawcą włamania, wówczas Drew nie ręczył za siebie...

Oderwał się od ponurych myśli i zaczął przysłuchiwać się pytaniom, jakie inspektor zadawał Ann. Inny oficer zbierał odciski palców. Wreszcie zostali tylko we *dwoje*. Ann objęła się ramionami, jakby chciała się ukryć przed złem, jakim przesiąknięty był cały pokój.

- Czuję się tak sponiewierana - powiedziała patrząc na niego; do oczu znowu napłynęły jej łzy.

- Każdy by się tak czuł w twojej sytuacji - odparł.

Drew widział, że była bliska załamania. Panowała nad sobą resztkami woli. I znowu powstrzymał się,

by nie wziąć jej w ramiona, tylko przyrzekał, że wszystko będzie dobrze.

- Tak okropnie się czuję, bo rzuciłam podejrzenie na Petera, zupełnie jakbym go zdradziła.

- Przestań się zadręczać. Przecież musiałaś powiedzieć prawdę.

- A jeżeli on tego nie zrobił?

- Jeśli to nie on, zostanie oczyszczony z zarzutów.

- Chciałabym, żeby to było takie proste - znowu westchnęła ciężko. - On mi nigdy nie wybaczy.

- Tu nie ma nic do wybaczenia - odrzekł Drew i postanowił, że najlepiej będzie zabrać ją do domu, nim zdąży odwołać wszystko, co powiedziała policji.

- Ja...

- Przestań - przerwał jej szorstko - chodźmy już stąd.

Ann chwyciła go za rękę.

- Przecież nie mogę tego wszystkiego tak zostawić.

- Owszem, możesz. Już ja się tym zajmę. Trzeba zawiadomić towarzystwo ubezpieczeniowe. Ale na razie zadzwonię do mojego znajomego, który pod Lufkin prowadzi firmę porządkową. Ma wobec mnie dług wdzięczności. Jutro rano będzie tu z paroma ludźmi.

Oczy Ann wydawały się jeszcze większe w jej bladej twarzy.

- Dobrze... tylko poproś go, żeby skontaktował się ze mną. Wolałabym być przy tym. - Przerwała, rozejrzała się, próbując oszacować straty, po czym znowu skrzyżowała ręce na piersi, jakby chciała uchronić się od ciosu. - Boże drogi - szepnęła - jak to wygląda! Co tu się dzieje!

- Nie denerwuj się już - powiedział Drew, starając się jej nie dotykać. - Jak tylko zadzwonię, możemy stąd iść.

Ann nic nie odpowiedziała, nie odezwała się też ani słowem w drodze do domu. Gdy zaś znalazła się już u siebie, w łagodnie oświetlonym pokoju, odwróciła się i powiedziała z wdzięcznością:

- Dziękuję ci za pomoc. Teraz już dam sobie radę.

Widać było jednak, że nadal jest zdenerwowana, jej głos nie brzmiał przekonująco.

- Nie musisz mi dziękować. Nie ma w ogóle o czym mówić. Ale ty chyba nie czujesz się jeszcze dobrze?

Zapadła cisza. Przerwał ją Drew.

- Matka bardzo żałuje, że nie mogłaś przyjść na kolację, i oczywiście przykro jej z powodu włamania - powiedział, starając się nie zwracać uwagi na gorąco, jakie zapanowało w pokoju. A może ten żar był w nim samym?

- Przekaż jej, że ja też bardzo żałuję - odparła lekko drżącym głosem.

- Chyba już sobie pójdę. Powinnaś trochę odpocząć.

Oczy Ann błysnęły niespokojnie. Czyżby w panice?

- Zasnąć. Chciałabym zasnąć.

Stał w milczeniu i patrzył na nią, na jej szyję, gdzie pulsowała niebieska żyłka.

- Zadzwoń do ciebie później.

- Proszę cię, zostań.

Drew przesunął ręką po swych włosach.

- Czy ty wiesz, co mówisz? - spytał chrapliwie.

- Tak, wiem. - Wyciągnęła dłoń i oparła mu ją na piersi.

Dotyk jej ręki, nawet przez ubranie, poraził go jak prądem.

Patrzyła na niego badawczo szeroko otwartymi oczami.

- Drew...

Opuściła go cała siła woli. Przyciągnął ją do siebie, lekceważąc ostrzegawcze dzwonki, jakie rozległy się

w jego głowie. Nie myśl o niczym, Drew. Ciesz się chwilą.

Już raz skosztował tego zakazanego owocu, i teraz wolalby raczej umrzeć niż zrezygnować. Był wyczerpany męką, jaka trawiła jego ciało; od tak dawna pragnął dotykać jej tak jak teraz, zaznać rozkoszy jej pocałunków, których smak poznał tamtego wieczoru. Nigdy jeszcze nie pragnął nikogo tak mocno, jak pożądał Ann.

Ale jak to możliwe, że znalazł się w takiej ślepej uliczce? Jak to możliwe, że znaczyła dla niego aż tyle? Do tej pory najważniejszy był tylko on.

- Starałem się wmówić sobie, że cię nie pragnę
- wyszeptał z dziką żądzą w oczach. - Ale to przecież nieprawda. Chce cię pieścić. Chcę, żebyś ty pieściła mnie.

Dotknął wargami jej ust i Ann osunęła się w jego objęcia. Nic nie miało znaczenia oprócz ognia, który ich spalał. Ann wiedziała, że później będzie sobie wyrzucać własną słabość, ale teraz liczył się tylko on.

Rozchyliła usta i ich języki splotły się w gorączkowej walce ze sobą. Jej ciało wygięło się w łuk, a piersi dotknęły jego torsu. Jaki był silny, jaki potężny!

Drew rozpiął jej bluzkę. Otoczył dłońmi jedną pierś i ścisnął mocno. Z jej ust wyrwał się chrapliwy okrzyk, a gdy jego wargi dotknęły sutka, jęknęła. Pragnęła poznać jego ciało, dać mu taką samą rozkosz.

Kiedy zaczęła go rozbierać, odsunął się lekko.

- Sam to zrobię. Będzie szybciej - oznajmił.

Zrzucili ubranie i gdy oboje byli już nadzy, Drew chwycił ją w ramiona z dziką gwałtownością, która ją i wzruszyła, i przeraziła. Kiedy jednak osunęli się na dywan i jej palce zaczęły pieścić jego skórę, obawa rozplynęła się. Pozostało jedynie gorączkowe oczekiwanie.

- Ann, Ann -jęknął, objawwszy jej wilgotne, gorące ciało.

Krzyknęli oboje jednocześnie. Płomień ekstazy oblał ich ciała, pogrążeni w wirze uniesienia, oddali się namiętności.

Ann czuła niepohamowaną rozkosz; palcami wpijała się w jego pośladki i biodra.

- Tak, tak! - Drew pokrywał pocałunkami zagłębienie jej ramion, szyję, uszy, aż wreszcie znowu przeniósł usta na piersi, wodząc językiem po ich pełnych kształtach.

Ann była bliska omdlenia z rozkoszy. Ścisnęła go tak mocno, że jej palce zbieleły, i wydała z siebie cichy jęk.

Po chwili z jego gardła wydobył się głuchy dźwięk i oboje znaleźli się na krawędzi ekstazy, a potem stoczyli się w dół, na oślep, w otchłań upojenia, która nie miała końca.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wyczerpana, ale zaspokojona, Ann położyła głowę na piersi Drew. Jego serce biło tym samym rytmem co jej. Miała wrażenie, że to uczucie jedności z nim, jakie ją teraz przepelniało, daje jej prawo do poznania wszystkiego, co dotyczy jego, tego, co on lubi i czego nie lubi, co go denerwuje, rozwesela, zasmuca i napawa lękiem. Wiedziała doskonale, że to pragnienie jest absurdalne, nie potrafiła jednak się opanować.

Chciała wiedzieć wszystko o tym mężczyźnie, który rozbudził jej ciało tak jak nikt do tej pory. Była jednak realistką: ta chwila w jego ramionach nigdy się nie powtórzy. Tak chciałaby się mylić!

- Nie śpisz już? - spytał Drew.

- Właśnie się obudziłam. - Położyła mu rękę na brzuchu, drobne włoski łaskotały jej palce. Drew objął ją ramieniem. Ich nagłe zespolenie, tak nieoczekiwane i gwałtowne, sprawiło, że zniknęło wszelkie zażenowanie i onieśmielenie.

- Ann.

- Słucham. - Nawet jego głęboki głos podniecał ją.

- Czy mówiłem ci już, jak bardzo jest mi przykro z powodu twojego ojca?

Ann, słysząc te słowa, poczuła ucisk w sercu. Nie spodziewała się tego.

- Nie, nie mówiłeś.

- No więc jest mi bardzo przykro.

- Dziękuję - szepnęła. Próbowwała nie poddawać

się myśлом o ojcu, bowiem zawsze wywoływały żal i łzy.

- Próbowałem przekonać mojego ojca, że zrobił ogromny błąd. - Ann czuła pod swoją dłonią, jak napinają mu się mięśnie. - Ale jak sama wiesz, i jak wszyscy wiedzą, Johnowi MacMillanowi nie sposób było cokolwiek wytłumaczyć. Uważał się za nieomylnego.

Drew przerwał na chwilę, przesunął się nieco, żeby móc widzieć jej twarz.

- Ale, wiesz, najgorsze w tym wszystkim jest to, że umarł tkwiąc w tym przekonaniu.

- Nie - wyszeptala Ann. - Najgorsze jest to, że wy dwaj nigdy się nie pogodziliście.

- Ja próbowałem, ale on nie chciał ustąpić - mówił monotonnym, pozbawionym emocji głosem. - Wszystko musiało być zawsze tak, jak on chciał. Gdyby nie matka...

Nie musiał mówić nic więcej, Ann doskonale rozumiała.

- Tak, moja też była dla mnie jedynym oparciem, dopóki się nie rozchorowała. Jeżeli prawdą jest to, co twierdzą lekarze, że rak jest wynikiem stresu, to moja matka stanowiła potwierdzenie tej hipotezy. Wybryki Petera też się do tego przyczyniły.

Drew sposepniał.

- Z tego powodu też jest mi diabelnie przykro. Wiele dałbym za to, żeby ten wypadek nigdy się nie wydarzył.

- To nie była twoja wina. I nie mam do ciebie żalu o mojego ojca czy Petera. Życie daje nam się po prostu czasami we znaki, a my nigdy nie wiemy dlaczego.

- Sądzisz, że Peter zdemolował twój salon właśnie dlatego, że życie dało mu się we znaki?

- Chyba tak, i myśl o tym, że był do tego stopnia

zdesperowany, doprowadza mnie do rozpacz. - Jej oczy zwilgotniały. - Może powinnam była ustąpić i pomóc mu jeszcze ten jeden raz.

- Nie mów tak, nawet tak nie myśl. On musi wreszcie się nauczyć, że nie może za każdym razem, kiedy tylko znajdzie się w dołku, biec do ciebie.

- Masz rację. Ale kiedy przypomnę sobie mój śliczny zakład... - nagle głos jej się załamał.

Drew przycisnął ją mocniej.

- Posłuchaj, twój zakład już niedługo wróci do normalnego wyglądu, zobaczysz. Musisz tylko uzupełnić zapasy materiałów i naprawić parę drobiazgów.

- Biedny, biedny Peter.

- Może gdybym to ja został wtedy ranny, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ja nigdy nie miałem zamiaru grać w piłkę.

- Czy to godzina szczerości? - zapytała zadziornie Ann w nadziei, że rozpędzi ponury nastrój, w jaki wpadli. Drew odkrył przed nią na krótko twarz, której wcześniej nigdy nie widziała. Jego szczerość i wrażliwość wzruszyły ją.

Jakby domyślając się, że za bardzo się odsłonił, opanował się natychmiast i uśmiechnął się:

- Masz rację, dosyć tych wynurzeń. Mamy ważniejsze i pilniejsze rzeczy do zrobienia.

- Na przykład co?

Oczy zaszyły mu mgłą, gdy pieszczotliwie powiódł palcem po jej piersi.

- Są piękne, naprawdę piękne.

- Trochę za duże - wyznała Ann ze śmiałością, która zaskoczyła ją samą.

- Ani trochę.

- Czy mam to uznać za komplement?

- Są doskonałe. - Dotknął ich ustami.

Ann jęknęła cicho.

- Czy to cię podnieca?

- Tak, bardzo. Och...

Roześmiał się cichutko, po czym pochylił się nad jej twarzą i dotknął wargami kącików oczu. Następnie, westchnąwszy głęboko, ułożył głowę między jej piersiami, pieszcząc je dalej i całując.

- Och, Drew - wyszeptała, wyprężając swe ciało w pożądaniu.

- Może powinniśmy poszukać łóżka?

Do tej pory nie ruszyli się jeszcze z dywanu.

- A ty jak uważasz? - spytała Ann, zupełnie nie mogąc zebrać myśli, podczas gdy usta Drew pieściły jej ciało na różne sposoby.

- Chyba nie - odparł niewyraźnie. - Raczej nie udałoby mi się zrobić nawet kroku.

- Mnie też. Ale czy nie jest ci niewygodnie? To znaczy...

Znowu się roześmiał.

- Nie musisz się martwić o moje kolana, bo tym razem to ty będziesz na górze.

Mówiąc to przekreślił się na plecy. Kiedy lekko unióś ją do góry, rozsunęła nogi i otoczyła go nimi.

Drew wymamrotał coś niewyraźnie, obejmując ją swymi silnymi dłońmi w talii. Oboje poruszali się w zgodnym rytmie.

Ach, jak cudownie. Doznanie, jakie dzielili, wyzwalało w Ann uczucie niezwykłej swobody, jakby biegła nago plażą w świetle księżyca.

Drew krzyknął nieoczekiwanie i unióś się lekko, a Ann poczuła, jak drży. Po chwili usłyszała swój własny krzyk.

- Och, Drew - zaszlochała i opadła mu na pierś.

Później przenieśli się oboje do łóżka i zasnęli.

Promienie słońca przedzierające się przez żaluzje obudziły Ann, która w pierwszej chwili była zupełnie

zdezorientowana, gdy wyciągnąwszy się, poczuła osobliwe wyczerpanie i ból. Ale zaraz przypomniała sobie wszystko. Otworzyła oczy i usiadła na łóżku.

Drew wszedł do sypialni z ubraniem ściśniętym w jednej ręce. Gdy zobaczyła go nago, od razu zrobiło jej się sucho w ustach. I choć nie tak dawno dotykała każdej części tego twardego i jędrnego ciała, jego widok w całej okazałości sprawił, że serce znowu zaczęło jej bić przyspieszonym rytmem.

- Dzień dobry - powiedział bez skrępowania, jakby był przyzwyczajony do paradowania nago.

- Hej - wymamrotała.

- Myślałem już, że w ogóle nie masz zamiaru wstać.

- Która godzina?

Spojrzał na zegarek.

- Ósma.

- Ósma! - wykrzyknęła. - O dziewiątej mam umówioną klientkę. Sądzisz, że da się tam pracować po tym włamaniu?

- Musisz tylko pobiec do sklepu i kupić przedtem parę drobiazgów, żadnych innych przeszkód nie widzę.

Twarz Ann rozjaśniła się nieco.

- Szafka z zapasami była nie tknięta. Jestem przekonana, że mam tam jeszcze trochę lakieru.

Zamilkli na chwilę.

Poczucie bliskości, którego nie zdołałyby wyrazić żadne słowa, znowu między nimi ogromniało i połączyło ich po raz kolejny.

- Ann...

- Tak? - westchnęła boleśnie. Jej ciało zeszytywniało pod naporem gwałtownej namiętności, jaką on zawsze w niej wywoływał.

Drew spojrzał w bok i urok minął. Ale on też był podniecony. Ręka, którą nakładał koszulę, drżała nieznacznie.

Mimo to Ann nie potrafiła zdobyć się na zadanie mu pytania, które wisiało nad nią niczym ciemna chmura. Czy jeszcze go zobaczy? Czy też zdarzyła się im typowa jednorazowa przygoda, z których był tak dobrze znany?

Nie użalaj się nad sobą, Ann, przywołała się brutalnie do porządku. Znała przecież cenę; kiedy się na to decydowała, wiedziała, że igra z losem. Jeśli nawet oboje byliby zainteresowani utrzymywaniem znajomości, to przecież i tak nie mogło im się udać. Ona była stateczna, on nie. On był zamożny, ona wprost przeciwnie. On żył na krawędzi ryzyka, ona szła po prosto wytyczonej i bezpiecznej drodze. On łamał zasady, ona ich przestrzegała.

Drew naciągnął dzinsy i zapiał pasek. Ann przywarła spojrzeniem do jego dłoni, tych samych, które zgłębiały tajemnice jej ciała, powoli, dokładnie, z cudownym bezwstydem.

A więc wpadła. Zdarzyło jej się najgorsze, co mogła sobie wyobrazić. Zakochała się. A może kochała go przez cały ten czas? Zagryzła wargi, żeby nie krzyknąć.

- Wpadnę później do ciebie do zakładu.

Patrzył na nią oczami rozpalonymi namiętnością.

- Dobrze - wyszeptala.

Po czym Drew odwrócił się i ruszył do wyjścia.

- Kocham cię - powiedziała.

Tylko że on tego nie usłyszał.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Co ty tu robisz?

Słowa Drew rozdarły ciszę.

Ann obróciła się i spojrzała na niego zaskoczona.

- Ale mnie przestraszyłeś! - Położyła rękę na sercu, jakby chciała je uspokoić.

- Przepraszam. - Drew zbliżył się do niej. - Myślałem, że w poniedziałki salon jest nieczynny.

- Dobrze myślałeś, ale Kay, moja nowa fryzjerka, robi jednej z klientek trwałą. - Ann ruchem głowy wskazała na drugi gabinet.

- Ale to nie wyjaśnia, co ty tu robisz.

Ann wzruszyła ramionami.

- Ciągle jeszcze sprzątam.

Od tych pełnych wydarzeń godzin minęły trzy dni. Ann przez ten czas zrobiła bardzo dużo. I chociaż firma porządkowa ogromnie jej pomogła, to jednak tylko ona sama wiedziała najlepiej, gdzie należy postawić każdy najmniejszy drobiazg. Na szczęście szybko wypłacono jej należne odszkodowanie, dzięki czemu mogła wymienić rozbite lustra i inne uszkodzone sprzęty.

Któregoś razu Drew próbował nawet jej pomóc, ale raczej zawadzał niż pomagał, zwłaszcza gdy całował ją w kark, gdy mu się tylko nadarzyła okazja. Wreszcie Ann przepędziła go z zakładu twierdząc, że przy nim nigdy nic nie robi. Drew jednak dostrzegł w jej oczach to płomienne spojrzenie i poczuł szybkie bicie jej serca. Nie miał wątpliwości, że Ann pragnie go równie mocno, jak on jej.

Teraz, stojąc nad nią, spytał:

- Masz zamiar pracować cały dzień?

Ann na chwilę przerwała pracę i spojrzała na niego:

- Raczej tak.

- Nie uważam, żeby to był dobry pomysł.

- Naprawdę? - spytała unosząc brwi.

Wzruszył ramionami.

- Po pierwsze, pogoda jest tak wspaniała, że mnie nie chce się dziś pracować.

- Właśnie widzę.

Był ubrany w niebieskie dżinsy, bawełniane podkoszulki i sportowe buty. Uśmiechnął się i po raz drugi wzruszył ramionami.

- Mówiłem ci, że nie mam zamiaru dziś pracować.

Ann nie odpowiedziała. Drew śledził wzrokiem każdy jej ruch, gdy wyjmowała z pudełka buteleczki z lakierem i ustawiała je na szklanej półce.

Podziwiał sposób, w jaki radziła sobie z trudnymi sytuacjami. Nie próbowała uciekać przed nimi ani ich lekceważyć. Może działo się tak dlatego, że była bardzo zorganizowana i chciała być we wszystkim doskonała. Cecha ta stawała się tym bardziej widoczna, im baczniej obserwował, jak Ann ze skupioną twarzą robi to, co do niej należy. Wykonywała pewne, jednostajne ruchy, zupełnie jak wtedy, gdy gładziła jego ciało.

- No i jak? - odezwał się Drew w narastającej ciszy.

Ann spojrzała na niego z lekkim uśmiechem na ustach.

- I dlatego nie chcesz, żebym i ja pracowała, tak?

- No, wreszcie zrozumiałaś.

Ann rzuciła mu pełne irytacji spojrzenie, po czym ruszyła w stronę gabinetu do pedikiuru.

- Poczekaj, dokąd idziesz?

Kiedy nie usłyszał odpowiedzi, poszedł za nią jak zahipnotyzowany. Długi fartuch nie był w stanie ukryć

pełnych powabu zaokrąglen jej bioder. Poczuł, że oblewa go fala gorąca.

- Co miałeś na myśli? - Ann spytała już w gabinecie.

- To - bąknął Drew, chwytając ją i przyciskając do ściany.

- Drew! - wysapała Ann zaskoczona.

- Tsss - szepnął rozchylając jej usta. - Miałem ochotę to zrobić od chwili, kiedy tu wszedłem.

- Przestań! - błagała. - Kay może nas zobaczyć.

- No to co? - Pochylił głowę.

- Drew... - Osunęła się bezwładnie ku niemu i jęknęła oddając pocałunek. Dopiero gdy objął dłonią jej gorącą pierś, odepchnęła go i cofnęła się na bezpieczną odległość.

Drew wciągnął głęboko powietrze, ale nadal nie był w stanie przemówić. Zerknął na nią kątem oka i wreszcie spytał:

- Jak nazywa się to, co masz na sobie?

- Chodzi ci o spodnie? - Ann spojrzała w dół.

-Tak.

- Legginsy.

- Sympatyczne. - Jego spojrzenie znowu prześlizgnęło się po niej całej, zachłannie, zaborczo.

- Dziękuję...

Słyszał wyraźnie, że brakowało jej tchu, podniecał ją bowiem tak samo, jak ona podniecała jego.

- Wyjdźmy stąd - powiedział tłumiąc jęk.

- I co zrobimy?

- Wybierzemy się na przejażdżkę moim jaguarem.

- Zmrużył oczy. - Proszę, nie odmawiaj.

Ann zawahała się przez chwilę.

- No, dobrze. Powiem tylko Kay.

W pięć minut później siedziała obok niego w jaguarze. Na razie nie uruchomił samochodu, lecz patrzył na nią uważnie przez dłuższą chwilę.

- Jest coś... o co chciałbym cię spytać. Chodzi o tę ostatnią noc... - zaczął łagodnie, inaczej niż zwykle, po czym zakaszła i zaklął pod nosem.

Musiał jednak powiedzieć głośno to, co nie dawało mu spokoju już od paru dni. Równie mocno chciał wyrzucić to z siebie, jak i niczego nie zepsuć.

- Mam nadzieję, że nie będziemy mieli kłopotów.

- Domyślałam się, że chodzi ci o to, czy nie jestem w ciąży - wypaliła Ann bez ogródek.

Drew westchnął głośno.

- Tak. Ale sam do siebie mam pretensję. Powinieniem był zastosować środki ostrożności, tylko że...

- nie dokończył zdania.

- Możesz być spokojny - odrzekła Ann patrząc wprost przed siebie. - To były bezpieczne dni.

- Nie wiedziałem. - Zmarszczył brwi.

- Waśnie skończył mi się okres. - Spojrzała mu prosto w oczy. - A więc, jak widzisz, nie masz powodu do obaw.

- I ty też?

- Tak, ja też - odrzekła Ann z lekką irytacją w głosie.

Drew chwycił za kierownicę. Niech to diabli, wiedział, że Ann chce mieć dziecko, ale przecież nie jego, na litość boską. Ogarnęła go panika.

- Zdawało mi się, że mieliśmy się wybrać na przejażdżkę.

Jej opanowany głos wyrwał go z zamyślenia. Przekreślił kluczyk w stacyjce i słuchał pomruku silnika. Jeszcze jeden drobiazg nie dawał mu spokoju.

- Ja wiem, Ann, że chcesz mieć dziecko, tylko...

Gwałtownie odwróciła głowę.,

- Domyślałam się, co chcesz powiedzieć - odparła twardo. - Oszczędź sobie trudu. Tak, chcę mieć dziecko, ale nie twoje.

Znowu zaklął pod nosem.

- Przepraszam.

Po dłuższej chwili milczenia Drew wyciągnął rękę i pogładził Ann po policzku.

- Jeśli masz ochotę mnie uderzyć, to proszę bardzo.

Na jej ustach pojawił się nieznaczny uśmiech.

- Wybaczasz mi? - spytał z tym diabelskim błyskiem w oczach.

Ann spojrzała na niego i uśmiechnęła się szeroko.

- Tak, ty wariacie.

Drew roześmiał się i dodał gazu.

- Spodoba ci się.

- Domyślam się, że chcesz się przede mną popisać.

- Czegoś takiego jeszcze nie przeżyłaś.

Ann wywróciła oczy do góry.

- Czy nikt ci jeszcze nie powiedział, że jesteś próżny?

- Słyszę to co najmniej raz na dzień - odparł głębokim basem.

- Jesteś okropny.

- Wiem.

- Czy nie powinniśmy już ruszyć?

- Tak, ruszamy.

Drew przycisnął jakiś guzik i dach samochodu odsunął się do tyłu, światło słoneczne oślepiło ich.

- Trudno sobie wyobrazić piękniejszy dzień na przejażdżkę.

- Rzeczywiście - Ann wciągnęła w piersi świeże powietrze - i bardzo już tęskniłam za chwilą oddechu.

Drew skierował się na autostradę.

- Będziesz miała to, na co zasłużyłaś.

- Dokąd jedziemy?

- A dokąd byś chciała? Po prostu przejedziemy się kawałek. Pokażę ci, na co stać jaguara.

Przez chwilę jechali w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach.

- Czy masz już jakieś wiadomości w sprawie Tima Pollarda? - spytała wreszcie Ann.

- Nie, ciągle czekam na ostatnie słowo mojego kumpla z Houston.

- Mam nadzieję, że ci pomoże.

- Ja też - odparł ponuro Drew. - Wiem, że Pollard jest winny, tylko nie mogę mu tego udowodnić. Firma powinna być w lepszej kondycji niż jest.

- Mówiłeś już matce?

- Tak, to był dla niej prawdziwy szok.

- Mogę sobie wyobrazić.

- Ale moje interesy idą nie najgorzej. Jestem gotów wrócić do Houston i już tam zostać.

- Domyślam się.

Tylko nie chcę opuścić ciebie, pomyślał. Ale oczywiście nie mógł powiedzieć tego na głos. Uważał siebie za wariata. Co się stało, że zrobił się taki wrażliwy? Ann Sinclair była silna, inteligentna i kochająca. A i on nie był jej obojętny; doskonale o tym wiedział i korzystał z tego. Lekceważąc konsekwencje, uległ własnym żądom. Bardzo by chciał, żeby to było takie proste, ale niestety. Uczucia, jakie Ann w nim obudziła, były dla niego nowością. A ponieważ sam ze sobą prowadził wojnę, nie wiedział teraz co począć.

- Mmmm, to był doskonały pomysł. - Ann przerwała ciszę.

Patrzył na nią, gdy odrzuciła w tył głowę i śmiała się. Poczłł niemal fizyczny ból, tak bardzo pragnął ją objąć.

Jechali pustą drogą. Drew przycisnął mocniej pedał gazu. Samochód wyskoczył do przodu.

- Drew! - wrzasnęła Ann, zaciskając pobielełe palce na krawędzi fotela.

- Co takiego? - zadrwił. Oczy mu płonęły podnieceniem.

Włosy Ann otoczyły twarz czarnym jedwabistym obłokiem. Odgarnęła kilka pasemek z czoła i z ust i spytała:

- Jak szybko jedziemy?

- Jeszcze nie tak szybko, jak bym chciał.

Ann była nie mniej podniecona niż on.

- Widzę, że życie wstępuje w ciebie dopiero za kierownicą.

- To jest niemal równie dobre jak seks.

- To niesmaczne - powiedziała otwarcie Ann.

- Ale prawdziwe.

- Jesteś beznadziejnym przypadkiem. - Uniosła oczy do góry.

- Chcesz, żebym ci pokazał, co ta dama potrafi?

- Drew poklepał dłonią kierownicę.

- No, dobrze, pokaż - zgodziła się po chwili wahania.

Zmienił bieg i nacisnął jeszcze mocniej pedał gazu. Dzikie kwiaty i bydło pasące się po bokach, a nawet smukłe sosny zamieniały się w niewyraźne smugi w tym szaleńczym pędzie. Drew jednak prawie tego nie zauważał. Znajdował się w stanie upojenia, z jakim równać się mógł jeszcze tylko seks. Uśmiechnął się w duchu i spojrzął kątem oka na Ann.

- Czy nie powinieneś trochę zwolnić?

Znowu rzucił na nią szybkie spojrzenie.

- Przecież dopiero wystartowaliśmy.

- Chyba żartujesz. Ten samochód na pewno nie może już jechać szybciej. - Ledwie mogła złapać powietrze.

- Zaraz ci pokażę.

- To chyba nie jest dobry pomysł.

- Och, daj spokój, nie bądź taka przyziemna, daj się porwać przygodzie - nalegał, zerkając jednocześnie

na przesuającą się coraz wyżej wskazówkę prędkościomierza.

- Drew... proszę cię... przestań - błagała go szeptem.
- Odpreż się, dziecinko, i ciesz się, że jedziemy.
- Nie mogę.
- Owszem, możesz. Zaufaj mi, dobrze?

Na pozór dała się przekonać jego słowom i przez kilka minut pędzili autostradą słysząc w uszach jedynie świst wiatru.

- No, nie miałem racji? - spytał Drew patrząc cały czas przed siebie.

Cisza.

Spojrzał na Ann. Jej twarz była zielonkawoszara, siedziała sztywno wyprostowana, jakby połknęła kij.

- O Boże, źle się czujesz, Ann?
- Zatrzymaj... zatrzymaj samochód - wykrztusiła
- bo zaraz się rozchoruję.

W kilka sekund później Drew wjechał na mały parking przy szosie.

- Źle się czujesz? - spytał znowu z troską.
- Nic... mi... nie jest - wyjąkała z trudem. W jej oczach było śmiertelne przerażenie.
- Ty nie żartowałaś. Naprawdę się bałaś...
- Nigdy już nie pozwalaj sobie na takie wyczyny!

Lodowata furia w jej głosie wprawiła go w osłupienie.

- Słuchaj, czy nie uważasz, że trochę przesadzasz?
- Ja przesadzam! - wrzasnęła. - To ty jesteś szalony!

Drew starał się zapanować nad irytacją.

- Dobrze wiem, co robię - powiedział spokojnie.
- To mój zawód.
- Nic mnie to nie obchodzi.
- Boże, ale jesteś zdenerwowana. - Uspokajająco dotknął jej ramienia.

Odrzuciła go.

- Może jestem zdenerwowana, ale nie jestem głupia.
Oczy błysnęły mu z wściekłości.
- Odwieź mnie do domu. Chcę wrócić do domu
- upierała się. Po jej policzku spłynęła łza.
Jej słowa zabrały go. Wzdrygnął się.
- Proszę bardzo - zgodził się.

scan-dalouis

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Teraz są za krótkie - lamentowała kobieta, patrząc na Ann.

Ta starała się nie stracić cierpliwości.

- Przecież chciałaś, żebym ci je skróciła.

- Ale nie aż tyle - sprzeciwiła się Jessica z irytacją.

- Nie miałam wyboru. Skoro chciałaś żeby wyglądały porządnie, to musiałam je skrócić. - Ann zmusiła się do uśmiechu. - Wyglądają teraz ślicznie. Naprawdę ślicznie.

- Mam nadzieję. - Pochmurna twarz Jessiki złagodniała. - Ile ci jestem winna? Muszę już wracać do domu. Elmer zabije mnie, jeśli się spóźnię.

Dziesięć minut później Ann została już zupełnie sama. Opadła bezwładnie na krzesło i potarła dłonią prawą skroń. Lekki ból głowy zaczynał powoli dawać o sobie znać. Spojrzała na zegarek. Minęła szósta i właśnie skończyła pracę. Prawie skończyła, musiała jeszcze tylko przygotować zakład na jutro.

Poza tym nie miała przecież po co spieszyć się do domu. Nic tam nie czekało poza pustką, jaką nosiła w sobie. Od czasu tej słownej utarczki z Drew egzystowała jak gdyby w odrętwieniu.

Obawiała się, że ich znajomość skończyła się na dobre. Spójrz więc prawdzie w oczy i zapomnij o nim, powtarzała sobie zapamiętale. Po chwili wstała i poszła do szafy po szczotkę. Daj mu zniknąć.

Im energiczniej zamiatała, tym intensywniej pracował jej umysł. Najlepiej by było, gdyby mogła wymieść go

ze swego życia tak jak te śmieci. Ale tęskniła za nim. Strasznie tęskniła.

Minał już tydzień od dnia, w którym wrócili w milczeniu z tak miło zapowiadającej się wycieczki.

Drew pojechał do Houston, żeby wziąć udział w wyścigach. Ann oparła się na szczotce i zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. A jeśli będzie miał wypadek... Nie! Nie powinna nawet tak myśleć! Nie potrafiła jednak opanować myśli. Znowu przeszył ją dreszcz na wspomnienie szaleńczej prędkości jaguara i swojego przerażenia. Ale za czymś takim właśnie tęsknił Drew, za niebezpiecznym podnieceniem, za życiem na krawędzi. Jak ona mogła się w nim zakochać?

Wyobrażała sobie, że miłość - jeśli w ogóle miała by się kiedykolwiek pojawić - będzie rozwijać się powoli, zdobywać jej serce cicho, bez specjalnego rozgłosu. Porównywała ją do delikatnego nasionka, które musi być podlewane i ogrzewane, by mogło rosnąć i dojrzewać. Zawsze drwiła z opowieści o dzwoneczkach i fajerwerkach, jakie rodziło jedno spojrzenie, jeden dotyk ręki. A jednak sama doświadczyła właśnie tego, co tak wyśmiewała. Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że miłość aż tak zdominuje jej myśli i uczucia, że wszystko inne odsunie na dalszy plan.

Była opętana. To by tłumaczyło wszystko.

Nie bez wysiłku powstrzymała cisnące się do oczu łzy i skończyła pracę. Gdy już wychodziła, odezwał się telefon.

- Psiakrew - burknęła, czując jednak, że serce jej zamiera. Może to Drew.

- H-halo - wyjąkała.

- Czy to pani, Ann? - Była zawiedziona, że to nie Drew, poczuła jednak lekkie poruszenie na dźwięk głosu Dorothy Sable.

- Czy dzwonię nie w porę?

- Nie, ależ skąd - odparła Ann pospiesznie.
- Właśnie wychodziłam do domu.
 - Może wołałaby pani, żebym tam zadzwoniła?
 - Nie, nie.
 - Zajmę pani tylko chwilę.
 - Zawsze bardzo się cieszę, gdy panią słyszę
- powiedziała Ann, chwytając się krawędzi stolika.
 - Dzwonię do pani - wyjaśniła Dorothy - ponieważ chcę spytać, czy byłaby pani skłonna adoptować starsze dziecko, na przykład dwuletnie? Wiem, że wołałaby pani niemowlę, ale jak już mówiłyśmy, prawie wszystkie noworodki rezerwowane są dla małżeństw.
 - Ale mówiłam pani, że mogę poczekać.
 - Tak, pamiętam. I dalej pani przy tym obstaje?
 - Ann nie zawahała się ani chwili.
 - Nie. Jestem skłonna wziąć starsze dziecko, zwłaszcza jeśli miałyby to przyspieszyć całą procedurę.
 - Oczywiście nie mogę pani tego obiecać, ale zazwyczaj tak się dzieje.

Biurokracja, pomyślała Ann. Ale nie sposób było jej uniknąć we wszelkich kontaktach z państwowymi instytucjami. Śmieszne, ale teraz nie miała już wyboru. Musiała grać ich kartami albo w ogóle się wycofać.

- Ann? - W głosie Dorothy wyczuła pytanie.
- Bardzo się cieszę. Naprawdę.
- To bardzo dobrze. Będziemy w kontakcie.

Gdy odłożyła słuchawkę, opadła na krzesło. Była wzruszona, to naturalne, i w pierwszym odruchu pragnęła podzielić się tą dobrą nowiną z Drew. I prawie natychmiast zrezygnowała. I tak by niczego nie zrozumiał, to raz. Uważał przecież, że zwariowała, pragnąc adoptować dziecko. Wątpiła też, że kiedykolwiek go jeszcze zobaczy, może co najwyżej w przelocie - to dwa.

A może gdyby nie zareagowała tak gwałtownie na

tę szybką jazdę, opanowała trochę własny strach... O nie! Nie potrafiła ukrywać własnych uczuć. Jeśli była szczęśliwa, wszyscy jej bliscy o tym wiedzieli. Gdy była rozdrażniona, wiedzieli także. Czy komuś się to podoba, czy nie, zawsze pozostanie sobą.

Wyszła z zakładu, czując się bardziej samotna niż kiedykolwiek w życiu.

- Czy nie słyszałeś, do stu diabłów, co ci powiedziałem?

Drew podniósł nieprzytomne spojrzenie na Hala Ackermana, swego przyjaciela, z zawodu księgowego. Hal nie siedział za biurkiem, lecz stał tuż za nim, oparty o komodę.

- Nie, nie słyszałem - wyznał Drew szczerze.

Hal pogładził swój wydatny brzuch.

- To właśnie klienci tacy jak ty przyprawiają mnie o zgagę.

- Niezupełnie. Zawdzięczasz ją raczej tłustemu jedzeniu.

Określenie tuszy Hala zwykłą nadwagą byłoby zbyt skromnością. Na szczęście ta fizyczna ułomność nie powodowała ociężałości umysłowej. Jego mózg nadal pracował tak sprawnie, jak kiedyś.

- Wolisz pomówić o tym kiedy indziej? - spytał Hal.

Drew wiercił się na krześle, czując się trochę nieswojo pod przenikliwym spojrzeniem przyjaciela.

- Nie, do cholery. Przecież specjalnie po to przyjechałem do Houston.

- Nie wiem jeszcze, co to jest, ale widzę wyraźnie, że jakiś robak toczy cię od środka.

- Zajmij się własnymi sprawami, dobrze?

Hal uśmiechnął się drwiąco.

- Nie zmieniłeś się ani na jotę.

- Ani ty.

Choć nie widywali się ze sobą zbyt często i po wspólnych studiach każdy poszedł własną drogą, byli jednak na tyle zaprzyjaźnieni, że pozwalali sobie na mówienie prawdy w oczy, bez skrepowania.

Hal roześmiał się głośno.

- Trudno mi uznać to za komplement.

Drew parsknął śmiechem.

- To chyba musi być kobieta - powiedział Hal coraz bardziej rozbawiony. - Niewątpliwie.

Drew nie mógł zaprzeczyć. Hal trafił w samo sedno. Ostatni tydzień spędzony bez Ann był prawdziwym piekłem. Pragnął jej tak mocno, że można to było uznać za opętanie. Do tej pory traktował poważnie jedynie wyścigi, nigdy kobiety. Ann spowodowała prawdziwe spustoszenie w jego życiu.

- Tak, to na pewno kobieta. Widzę to po twoich oczach.

- Odczep się, Ackerman - ostrzegł go Drew.

- Uważaj na siebie.

- No więc co mówisz? - Drew skupił się całkowicie na interesach.

- Pytałem, czy sprawdziłeś konto bankowe Pollarda i upewniłeś się, że nie ma na nim nadwyżki?

- Poza tym jednym faktem, że Pollard ma romans z kasjerką, nie znalazłem nic nadzwyczajnego.

- Musiał w coś wpakować te pieniądze. Ta jego bogdanka wyświadczyła mu więcej niż jedną przysługę, to pewne, jak dwa razy dwa cztery.

Drew wyprostował się gwałtownie na krześle.

- Czy to znaczy, że coś znalazłeś?

- Owszem.

- A niech to diabli. Czyli miałem rację, twierdząc, że jest winien.

- Winien jak cholera.

- Tak on to robił?

Hal podszedł do biurka.

- Faktury - powiedział wskazując na pudła pod ścianą, przywiezione wcześniej przez Drew.

- To kiedy będę mógł pójść na policję?

- Niedługo - odparł Hal. - Muszę do końca naładować swoje działa.

- Daj mi znać, kiedy będziesz gotowy - poprosił Drew, po czym wstał i skierował się w stronę drzwi.

- A gdzie ty się tak spieszysz?

Drew zatrzymał się w pół kroku i odwrócił ku Halowi.

- Wracam do MacMillan. Mam tam parę pilnych, nie dokończonych spraw, którymi muszę się zająć.

- A czy przypadkiem nie będziesz zajmować się tam jakąś panią, co?

- A od kiedy zrobiłeś się taki wścibski, co?

Głośny śmiech Hala brzmiał jeszcze w uszach Drew, gdy szedł korytarzem.

- Już idę, już idę.

Choć ktoś bardzo natarczywie dzwonił do drzwi, Ann zatrzymała się przed lustrem. Odsloniła zęby, żeby upewnić się, czy przypadkiem nie utkwiała między nimi odrobina pieprzu. Właśnie przed chwilą zdążyła przełknąć gotowane jajko z majonezem.

Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, podeszła do drzwi i otworzyła je. Ujrzała przed sobą smukłą, imponującą sylwetkę Drew. Zaskoczona nie była w stanie się ruszyć.

- Czy mogę wejść?

Może jej się tylko zdawało, ale odniosła wrażenie, że jego głos brzmiał niepewnie.

- Tak... oczywiście - odpowiedziała odsuwając się na bok. Gdy przechodził obok niej, musiała oprzeć się o drzwi. Zrobiło jej się słabo, kiedy poczuła odurzający

zapach jego wody kolońskiej. On był taki przystojny! Tak bardzo ucieszyła się jego widokiem, że byłaby w stanie wybaczyć mu niemal wszystko.

- Myślałem, że każesz mi wynieść się do wszystkich diabłów. - Stali oboje pośrodku pokoju, oddaleni od siebie na wyciągnięcie ręki.

- Nie mam zwyczaju mówić takich rzeczy nikomu.

- Tak mi się wydawało. - Drew uśmiechnął się.

- Co cię do mnie sprowadza? - spytała Ann lekko zachrypniętym głosem po chwili ciszy.

- Chciałem cię przeprosić. - Patrzył na nią przenikliwie. - Po raz drugi.

Ann próbowała uwolnić się od jego spojrzenia, lecz nie potrafiła.

- Posłuchaj...

- Wiem, co sobie myślisz - zaczął Drew - że jestem prawdziwym łajdakiem i nie zasługuję na jeszcze jedną szansę.

- Ja...

- Pozwól mi skończyć. Masz rację. Co prawda nie mogę cię zapewnić, że się zmienię, ale chcę spróbować.

- Przeciągnął dłonią po włosach. - Nie mam pojęcia co, u diabła, stało się między nami - przerwał na chwilę i spojrzał na nią umęczonym wzrokiem - ale nie mogę przestać spotykać się z tobą.

Nie mógł oderwać od niej oczu.

- Ja też nie chcę przestać cię widywać - powiedziała Ann z bijącym sercem.

- To chodź tu do mnie - szepnął Drew stłumionym głosem.

Ze szlochem, w którym był i płacz, i śmiech, Ann padła mu w ramiona.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- To bardzo miło z twojej strony, kochanie, że dotrzymujesz mi towarzystwa.

Łagodny głos Janet MacMillan był jeszcze bardzo słaby, choć i tak znacznie silniejszy niż dwa dni temu, gdy przywieziono ją do szpitala.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekła Ann. Ujęła kruchą dłoń w swoje ręce. - Moja matka... miała dla pani tyle szacunku.

- A ja dla niej. To była szlachetna kobieta.

- Dziękuję. - Ann odwróciła głowę. Obawiała się, że Janet mogłaby dostrzec łzy, które napłynęły jej do oczu.

- A więc mój syn i ty spotykacie się ostatnio często ze sobą. - Było to stwierdzenie, nie pytanie.

Ann odwróciła głowę z powrotem i poczuła, że się rumieni.

- Tak, to prawda.

Janet uścisnęła jej dłoń.

- To dobrze. On potrzebuje kogoś tak zrównoważonego jak ty.

- Tak pani sądzi? - roześmiała się Ann.

- Jestem o tym przekonana. Mój syn uwielbia niebezpieczeństwo. A skoro o nim mowa, kiedy on przyjdzie?

Ann spojrzała na zegarek.

- Powinien być lada moment.

- Mam nadzieję, że lekarz każe mu zabrać mnie do domu. - Oczywiście Janet rozbłysły nadzieją.

Ann puściła jej rękę, po czym rozsiała się wygodnie

na krześle. Miała pewne wątpliwości co do stanu zdrowia Janet. Kiedy Drew wróci z biura, powinien powiedzieć matce, że doktor wolałby zatrzymać ją jeszcze na jedną noc.

Dwa dni temu Ann miała w salonie spóźnioną klientkę, gdy zadzwonił Drew i poprosił, by spotkali się w szpitalnej separacie matki. Gdy tylko pozbyła się klientki, od razu pojechała do szpitala do Lufkin. Przy wejściu spotkała Drew z ponurą twarzą. Jego matka miała kolejny atak, stan nie był co prawda krytyczny, ale poważny.

Czekali na doktora trzymając się mocno za ręce, co w ciągu ostatnich dwóch tygodni zdarzało im się często. Od chwili gdy przyszedł do niej z przeprosinami za swą lekkomyślną jazdę samochodem, byli wprost nierozłączni, zwłaszcza popołudniami i wieczorami, kiedy grali razem w tenisa lub jechali do Lufkin na kolację. Większość czasu jednak spędzali w swych ramionach kochając się.

Wystarczyło, by Drew zbliżył się do niej, a ona od razu omdlewała. Co prawda pociąg fizyczny stanowił bardzo istotny element ich stosunków, ale bynajmniej nie jedyny. Ann kochała jego śmiech i jego powiedzonka, a także ten zawiadyacki wdzięk.

Drew nie powiedział jej wprawdzie nigdy, że ją kocha, ona jednak przekonała samą siebie, że tak było. Upewniła się także, że mimo różnic, jakie ich dzieliły, mieli przed sobą przyszłość.

Nikt nie potrafiłby być tak troskliwy, tak ciepły, nie kochając. A może ona po prostu oszalała i robiła sobie nadzieję na coś, co nigdy może się nie spełni. Nie. On musiał ją kochać. Musiał. Kiedy usłyszała, że otwierają się drzwi, odwróciła głowę w ich stronę. Drew uśmiechnął się do niej, po czym ostrożnie podszedł do łóżka i spytał szeptem:

- Czy dobrze się czuje?

Ann skinęła głową. Jakie to szczęście, że siedziała, a nie stała, albowiem już samo jego spojrzenie sprawiało, że ugiwały się pod nią kolana. Wyglądał jak zawsze oszołamiająco w swych czarnych dżinsach i białej koszuli, która podkreślała jego opaleniznę i świeżość. Obawiała się, że mógł usłyszeć gwałtowne bicie jej serca.

Janet otworzyła oczy.

- Ja nie spałam.

Drew mrugnął do Ann, po czym pochylił się nad matką i pocałował ją w policzek.

- Jak się czujesz?

- Dobrze. Mogę już wracać do domu.

- Doktor mówi, że lepiej byłoby poczekać do jutra.

Twarz Janet posmutniała.

- Proszę cię, przekonaj go. Ja dobrze znam Kyle'a, wszyscy wiedzą, że często zmienia zdanie.

- Ale on wie najlepiej, co jest dla ciebie właściwe - powiedział Drew łagodnie. - Nie drażnij go więc, zgoda? Przestraszyłaś mnie jak cholera.

- Drew, nie przeklinaj - upomniała go matka.

Skrzywił się lekko patrząc na Ann, która powstrzymała się, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Tak, mam - zgodził się potulnie.

- Idźcie już, wiem przecież, że wy dwoje macie co innego do roboty niż siedzieć tu ze mną i mnie pielęgnować. Zresztą lada chwila przyjdzie Elizabeth.

- Ojej, to uciekamy stąd jak najprędzej - powiedział szybko Drew i wyciągnął rękę ku Ann. - Ta stara ciotka nie da za wygraną, póki nie opowie wszystkich plotek.

- Drew MacMillan, przywołuję cię do porządku!

- W porządku, cofam to, co powiedziałem. - Po-

chylił się znowu nad matką i pocałował ją na pożegnanie. - Na razie, mamó.

- Proszę dbać o siebie, pani MacMillan - powiedziała łagodnie Ann i wyszła razem z Drew.

Ledwie znaleźli się w samochodzie, Drew przyciągnął Ann ku sobie i pocałował ją mocno w usta.

- Mmm, smakujesz tak samo dobrze, jak pachniesz.

- Staram się - odparła Ann odzyskawszy oddech.

- Przez całe popołudnie umierałem z pragnienia, żeby cię pocałować.

- Ja też.

Drew uruchomił auto i wyjechał na ulicę.

- Dokąd jedziemy?

- Do mnie do domu.

- Naprawdę? - Ann uniosła brwi.

- Tak. - Poglaskał ją po policzku. - Najpierw upieczemy sobie na grillu parę steków, wskoczymy do gorącej wanny, a potem będziemy się tak długo kochać, aż nie będziemy mogli się ruszyć.

- A jeśli wcale nie jestem głodna?

Zatrzymali się na czerwonym świetle; Drew spojrzął na nią płonąącym wzrokiem.

- Mam nadzieję, że masz na myśli tylko jedzenie.

- Naturalnie - odparła, po czym celowo przejechała językiem po dolnej wardze.

Drew oddychał z trudem.

- Sama wiesz najlepiej, co wolisz, więc wybierzesz.

Ann oblała się rumieńcem. Drew zaśmiał się cicho.

- Bardzo lubię, kiedy się czerwienisz.

- Ja tego nienawidzę - złościła się Ann.

Teraz Drew roześmiał się na cały głos i powiedział:

- Wobec tego zrezygnujemy z jedzenia i od razu pójdziemy do łóżka.

- Jesteś nienasycony.

- To raczej ty.

Obrzuciła go krótkim spojrzeniem.

- Tylko że ja się do tego przyznaję. Im częściej cię mam, tym bardziej cię pragnę.

- Ja też.

Oboje zamilkli na chwilę.

- A co ze służącą? - spytała na koniec Ann.

- Dałem jej wolny wieczór.

- Jak mało cię znam, Drew MacMillanie.

- I to właśnie cię przy mnie trzyma - powiedział z wyniosłą dumą.

Ann roześmiała się, po czym uzmysłowiła sobie, że Drew ma całkowitą rację i że ona bardzo go kocha. Ale na razie to ostatnie było jej tajemnicą. Nieważne, co wydarzy się w przyszłości, istotna była chwila obecna. Nie miała zamiaru marnować nawet sekundy.

- Drew, puść mnie, przecież jestem ciężka.

- Piekielnie.

Ann zachichotała i przytuliła się jeszcze mocniej do niego, kiedy niósł ją na górę po schodach.

Nigdy nie czuł się tak pełen wigoru jak wtedy, gdy miał ją w ramionach. Z chwilami upojenia, jakie dzięki niej osiągał, nic się nie mogło równać, nawet podniecenie na trasie wyścigu.

Nigdy nie przypuszczał, że spotka kobietę, która obudzi w nim tyle uczuć. Ale przyznanie się do tego miało też zdecydowanie złą stronę - stał się wrażliwy na zranienia i bezradny, a tego rodzaju stany były mu zupełnie nie znane. Przynajmniej dopóty, dopóki nie posmakował rozkoszy i jej ciała, i jej duszy.

W pośpiechu dotarł do sypialni i od razu postawił ją na ziemi. Ann patrzyła na niego w milczeniu, po czym dotknęła dłonią policzka.

Za oknem rozległ się grzmot, a niebo rozjaśniła błyskawica. Ale nic nie dało się porównać z dotykiem jej dłoni. Drżał na całym ciele wdychając ciepły, słodki zapach jej skóry. Pragnął jej niezmiennie.

Ann rozpięła mu koszulę, potem przesunęła dłonią po piersi, wywołując w nim kolejny dreszcz.

Przygarnął ją do siebie i poczuła, jak bardzo był podniecony. Całował ją zachłannie szepcząc co chwila:

- Pragnę cię, pragnę cię tak mocno, że cały drzę.

Trzęsącymi się rękami rozebrał ją do końca.

- Kochaj mnie - powiedziała gwałtownie, wtulając się w niego. Upadli w poprzek łóżka, ich nogi splotyły się ze sobą.

- Płonę - szepnęła Ann.

- A ja czuję ból.

Słyszał, jak jęknęła, gdy pieszcząc ją i całując opuszczał się coraz niżej i niżej wzdłuż jej płaskiego aksamitnego brzucha.,

W kilka minut później Ann ujęła jego głowę w swe ręce i poprosiła zamierającym szeptem:

- Teraz moja kolej, proszę.

Nie miał siły, by odmówić. Jej usta, wargi, język były równie gorączkowe i żarliwe w pragnieniu sprawienia mu rozkoszy. Usłyszał swój własny jęk i powoli zbliżał się ku tej granicy, za którą tracił kontrolę nad sobą.

- Chcę cię - błagała Ann. - Już, teraz!

Gdy ją posiadł, Ann wydała z siebie okrzyk, a potem mruzczała rozkosznie. Poruszali się zgodnym rytmem.

Nadal trzymał ją w objęciach i nie chciał puścić, jakby była jakimś cudownym snem, który mógłby zniknąć. Dotykał palcami jej włosów, twarzy, ust, jak gdyby usiłował zapamiętać każdy szczegół.

- Nie za bardzo się pospieszyłem?

- Nie, byłeś cudowny.

- Czy ja nigdy się tobą nie nasycę?
- Mam nadzieję, że nie.
- Ty zawsze tak ładnie pachniesz. Co to za perfumy?

Zaopatrzę cię w duży zapas.

- To „Czerwona brama”.
- Pytałem poważnie.
- Ale one naprawdę tak się nazywają - wyjaśniła.
- Co za idiotyczna nazwa dla perfum. - Uderzył ją dla żartu w pośladek.

- Auu!

- Udajesz! To na pewno nie bolało.

- Założymy się? Odwróć się, uderzę cię tak samo, i wtedy zobaczysz.

Drew uniósł się lekko i dotknął jej piersi.

- Mam lepszy pomysł. No chodź.
- Dokąd idziemy? - spytała Ann podając mu rękę.
- Zobaczysz.

Weszli oboje do wanny napełnionej gorącą wodą, pachnącą płynem do kąpieli; usiedli naprzeciw siebie ze splecionymi nogami.

- Ach, jak dobrze.
- Tak, cudownie - odpowiedziała Ann niczym echo.
- Ale nie tak dobrze jak z tobą. - Przycisnął usta do jej warg.

Ann jęknęła.

W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu. Najpierw zamarli w bezruchu, po czym odsunęli się od siebie.

- Cholera - zaklął Drew.

Ann zachichotała.

- Normalnie miałbym to w nosie - powiedział Drew podnosząc się z wanny - ale to może być szpital.

- Nie martw się, ja nigdzie nie pójde.

Obrzucił ją palącym spojrzeniem, po czym wyszedł z wanny.

Kiedy wrócił, miał kamienny wyraz twarzy.

- Twoja mama? - spytała unosząc brwi.
- Nie. To szeryf. Złapali Petera.

Oficer, Mickey Hargrove, którego i Drew, i Ann znali jeszcze z czasów szkolnych, zsunął sobie kapelusz o szerokim rondzie na tył głowy i spojrzał na Ann.

- Nie zaprzeczył, że włamał się do twojego salonu. Ann zadrżała. Drew zaklął cicho.

Gdy jechali na komisariat, siedziała obok niego ze stoickim spokojem. Czuła się tak, jakby jej serce zamieniło się w kawał ołowiu, zupełnie inaczej niż jeszcze przed chwilą, gdy bawiła się w wodzie z Drew. Ten nagły zwrot wydarzeń podziałał na nią jak uderzenie w policzek, przekonał ją bowiem, że niezależnie od tego, jak bardzo pragnęła, nie uda jej się uciec przed rzeczywistością. A tą rzeczywistością był jej brat.

Jak opowiedział jej Drew, znaleziono go w domu u jakiejś kobiety na peryferiach miasta.

- Co zamierzasz teraz zrobić, podtrzymujesz oskarżenie? - spytał Mickey.

Ann pokręciła głową. Drew zadał jej to samo pytanie już wcześniej, nie umiała na nie odpowiedzieć ani wtedy, ani teraz.

- Chciałabym się najpierw z nim zobaczyć.
 - Oczywiście.
 - Czy... czy nic mu nie jest?
 - Teraz już wygląda jako tako. Był bardzo brudny.
- Mickey wskazał głową na sąsiedni pokój. -Jest tam.
- Dziękuję ci, Mickey -powiedziała Ann. Zawahała się jeszcze.
 - Jeśli chcesz, to pójde z tobą. - Drew ujął ją pod ramię.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Wpraw-

dzie zdawała sobie sprawę, że jego obecność może pogorszyć sytuację, nie potrafiła jednak obejść się bez jego wsparcia.

Peter siedział niedbale na krześle z głową opartą na rękach. Gdy usłyszał kroki, podniósł ją do góry.

Ann wstrzymała oddech, przekonana, że za chwilę ją przeklnie i urządzi scenę tylko dlatego, że razem z nią przyszedł Drew. Nie zrobił tego jednak. Najpierw obrzucił ich posepnym wzrokiem, a potem odwrócił od nich swą bladą i wymizerowaną twarz.

Ann wprost nie mogła uwierzyć. Był taki zdolny! Jaka szkoda! Gdyby wszystko ułożyło się inaczej... Ale cóż, musiała stawić czoło tej okropnej sytuacji.

Podeszła bliżej do Petera i z trudem spytała:

- Dlaczego, Peter, dlaczego?

Spojrzał na nią i wykrzywił twarz.

- Nie pomogłaś mi.

- I w ten sposób chciałeś mi odplacić, tak?

- Coś w tym rodzaju.

Ann przełknęła łzy.

- Ty... ty mnie chyba nienawidzisz...

- Daj spokój, proszę. - Peter westchnął ciężko.

- Czy masz zamiar wnieść przeciwko mnie oskarżenie?

- A myślisz, że powinnam?

- Tak - powiedział krótko.

Drew podszedł bliżej, lecz nie odezwał się ani słowem. Ann poczuła jego wsparcie i była mu za nie wdzięczna.

- Masz rację, powinnam. Tylko że nie zamierzam tego zrobić.

Peter spojrzał na nią tak, jakby nie dosłyszał, co powiedziała, po czym wyraźnie odetchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu.

- Ale pod warunkiem, że dostosujesz się do moich

warunków - dodała tonem stanowczym, nie znoszącym sprzeciwu. - Na początek zwrócisz się o fachową pomoc.

- Znam kogoś odpowiedniego - wtrącił Drew.

- Odczep się, Drew, ja nie potrzebuję żadnego lekarza.

- Owszem, potrzebujesz - potwierdziła Ann z naciskiem.

- Przydałaby ci się też jakaś praca - dodał Drew.

- Jestem skłonny znaleźć ci robotę w tartaku.

Ann spojrzała na Drew prosto w oczy i przez chwilę poczuła się tak, jakby tylko oni byli w pokoju. Jej spojrzenie wyrażało gorącą wdzięczność.

Gdy jednak zwróciła oczy na Petera, zauważyła, że zbladł. Wiedziała, że propozycja Drew była dla niego ciosem, tym razem jednak nie miał wyboru i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

- W porządku - powiedział nie patrząc im w oczy.

- Zrobię, co chcesz.

- Ale to jeszcze nie wszystko, Peter.

Łagodny, ale w dalszym ciągu stanowczy ton głosu Ann sprawił, że brat odwrócił się ku niej.

- Co masz na myśli? - spytał.

- Chcę, żebyś zapłacił mi za szkody. Mogę nie wnosić oskarżenia, ale to nie znaczy, że nie powinieneś ponieść kary za to, co zrobiłeś.

Skinął głową.

- Raz w tygodniu będziesz przychodził po pracy do salonu, żeby posprzątać. Nie mam nikogo takiego. Na razie ty możesz to robić.

- Coś jeszcze? - spytał Peter stłumionym głosem.

- Nie... to wszystko.

- A może przenocowałbyś dzisiaj u mnie? - zaproponował Drew rozładowując trochę napięcie.

Peter pokręcił głową.

- Dziękuję, wróćę do Sandry, skąd mnie zabrali.
- Wobec tego chodźmy stąd - stwierdził Drew.

Nikt jednak nie ruszał się z miejsca, ani Ann, ani Peter. Najpierw patrzyli na siebie dłuższą chwilę, po czym Peter odezwał się pełnym cierpienia głosem:

- Ja... ja cię przepraszam, Ann.
- Och, Peter - wyszeptała Ann rzucając mu się na szyję. - Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Wkrótce potem Drew odprowadził Ann do domu. Przed drzwiami zatrzymał się i spojrzał jej prosto w oczy.

- Jesteś pewna, że mam sobie pójść?
- Tak - odparła ochryplym głosem. - Chciałabym zostać sama.

- Na pewno?

Uśmiechnęła się i przytuliła się do jego mocnej piersi.

- Tak, jestem pewna. Poza tym każdemu z nas przyda się noc spokojnego snu.

- Masz rację.

- Zadzwoń do mnie.

- Nie musisz mnie o to prosić. - Pocałował ją zatem, a ona przytuliła się jeszcze mocniej. Kiedy odsunęli się od siebie, Drew powiedział: - Chciałbym cię o coś poprosić.

- Proś o co zechcesz.

- W najbliższy weekend mam zawody. Czy wybierzesz się ze mną?

Ann opanowała się, żeby nie okazać swej prawdziwej reakcji. Czy to miał być test? Odniosła wrażenie, że coś w tym rodzaju. Musiała więc spróbować. Kochała go. Czyż to nie wystarczający powód, by wesprzeć go w tym, co miało dla niego taką wartość?

- Tak - wyszeptała patrząc mu w oczy. - Pojadę.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Czy mówiłem ci już, że wyglądasz tak wspaniale, że można by cię schrupać?

Ann spojrzała na Drew, który jedną rękę trzymał na kierownicy, drugą zaś na jej kolanie. Położyła na niej swoją dłoń. Spletli palce.

- Nie, nie mówiłeś - odparła - ale to zawsze miło słyszeć.

Tego ranka rzeczywiście starannie dobrała strój. Wiedziała, że czerwony bawełniany kostium z białymi dodatkami stanowił doskonałą oprawę dla jej ciemnych włosów i alabastrowej skóry. Białe sandały, srebrne klipsy i bransoletka dopełniały całości.

A więc nadszedł wreszcie dzień wyścigów. Mimo rezerwy, z jaką podchodziła do tego sportu, była podniecona. Jej podekscytowanie miało źródło w tym, że czekał ją cały dzień z Drew, oraz częściowo w nowinie, którą tak bardzo chciała się z nim podzielić.

Od czasu kiedy razem poszli na komisariat spotkać się z jej bratem, tak wiele zdążyło się wydarzyć. W dwa dni potem razem z Drew zawiozła Petera do Nacogdoches do lekarza, który zrobił na niej ogromne wrażenie. Jego sposób bycia utwierdzał w przekonaniu, że będzie mógł pomóc komuś takiemu jak Peter.

Choć nadal bardzo obchodził ją los brata, starała się nie zapominać także o własnych sprawach. Bez wątplenia zmobilizował ją do tego telefon z agencji. Pierwsza wizyta domowa miała odbyć się już w naj-

bliższym tygodniu. Z trudem zatrzymała tę nowinę tylko dla siebie i nie podzieliła się nią z Drew. W odpowiednim czasie zbada jego reakcję.

Zamierzała powiedzieć mu o tym dziś wieczorem, po wyścigu, kiedy już przytula się do siebie w łóżku.

Przeniosła spojrzenie na dźwignię biegu. Nie, żadnych ponurych myśli dzisiaj, powiedziała sobie.

- Coś nie w porządku? - spytał Drew.

- Dlaczego?

- Wyglądasz tak, jakbyś myślała o czymś przykrym.

- Nic podobnego. - Uśmiechnęła się.

Spojrzał na nią jeszcze raz, jakby miał zamiar się z nią spierać, ale zamilkł. Spojrzał w niebo.

- Trzymaj kciuki, żeby nie spadł deszcz.

- Skąd w ogóle taka myśl? Przecież na niebie nie ma ani jednej chmurki.

- Ach, w zachodnim Teksasie wszystko jest możliwe.

- To prawda, ale powinieneś być dobrej myśli.

- To chyba nerwy. - Wzruszył ramionami.

- Ty się denerwujesz? - drażniła się Ann. - Nie wierzę.

- No to uwierz - uciał stanowczo, ale potem uśmiechnął się znowu. - Ale to dobry rodzaj zdenerwowania, redukuje wydzielanie adrenaliny.

- Czy wiesz, że ja nie mam zielonego pojęcia o wyścigach?

- Dlatego, że nigdy nie pytałaś.

- No więc pytam cię teraz. Opowiedz mi trochę.

- Moje auto to wysokoprężny smok. Z przodu ma taki długi pysk, a tył jest miniaturką samolotowego skrzydła.

- Brzmi to tak, jakbyś opowiadał o jakimś pojeździe z gwiazdnych wojen. A jak szybko jeździ?

- Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć?

Twarz Ann zachmurzyła się.

- Nie, ale jeżeli mi nie powiesz, to będę wyobrażać sobie jeszcze coś gorszego.

- Porusza się z prędkością czterystu kilometrów na godzinę.

- O Boże! Rzeczywiście szkoda, że mi powiedziałaś - oświadczyła Ann słabym głosem, czując, że robi się jej niedobrze.

- Co ci jest? Znowu zrobiłaś się szarzielona.

Ann wyprostowała się i próbowała nadać swojemu głosowi beztrzeski ton.

- Nic. Czuję się doskonale.

- A krowy fruują.

Spojrzała na niego urażona.

- Domyślam się, że ty siedzisz z przodu w tej maszynie.

- Tak, zgadza się. A wiesz, jak nazywa się linia startowa? Choinka.

- Niesamowite. A czy to wszystko jest przynajmniej przyzwoicie zorganizowane? - spytała lękliwie.

- Jasne. Nasze stowarzyszenie ustala reguły i pilnuje, żeby były przestrzegane.

- Dobrze i to.

Sięgnął po jej dłoń i złożył na niej pocałunek. Wystarczyło jedno spojrzenie, jedno dotknięcie ręki, a ona natychmiast płonęła.

- Zobaczysz, że polubisz wyścigi - powiedział z roziskrzonym wzrokiem. - Podejrzewam, że tak się nimi zachwycisz, że będziesz chciała je zobaczyć jeszcze raz.

- Puste gadanie.

Puścił jej rękę i roześmiał się na całe gardło.

Ann przechyliła się i w odwecie pociągnęła go za ucho.

- Przypomnij mi, żebym ci oddał. Później.

- To obietnica? - Nie poznawała własnego głosu.

- Możesz na to liczyć.

Kończyli podróż w nastroju radosnej euforii.

- Czy dostanę całusa na szczęście? - poprosił.
- Och, Drew - szepnęła i wtuliła się w jego ramiona.
- Proszę cię, bądź ostrożny.

Usadowiona pośród tysięcy rozradowanych, wymachujących flagami kibiców, Ann też machała swoją chorągiewką i klaskała razem z tłumem. Ujrzała tor i doznała szoku. Drew nie powiedział jej, że miał zaledwie pół kilometra długości i był nie w kształcie koła, jak myślała, ale prosty. Ale ponieważ nie pytała go o to, sądził pewnie, że wiedziała.

Rozległ się głos spikera, który wymieniał wozy i numery ich miejsc startowych. Gdy wyczytał nazwisko Drew, Ann znowu zwątpiła, czy postąpiła rozsądnie, przyjeżdżając tutaj.

Już w dzień po złożeniu obietnicy, że będzie na trybunie, była zupełnie sparaliżowana strachem. Czy będzie mogła siedzieć spokojnie i przyglądać się, jak on naraża swoje życie? A jednak była tutaj, zmieszana z wiwatującym tłumem, zdecydowana spełnić obietnicę, niezależnie od tego, ile ją to miało kosztować.

Drew chyba wiedział, co robi? Pewnie kiedyś będzie śmiać się z siebie za swą głupotę. Na razie jednak pocieszała się tylko myślą, że Drew jest profesjonalistą. I modliła się.

Na starcie stanęły dwa auta - Drew i jeszcze jedno. Skandowała razem z tłumem: „Drew, Drew”. Jej mężczyzna był faworytem publiczności. Czowała, że napięcie i podniecenie rośnie. Zupełnie zaschło jej w gardle.

- Panowie i panie - spiker zawołał przez głośnik
- czy jesteście gotowi?
- Tak! - zakrzyknął tłum w odpowiedzi.

Przywarła oczami do jaskrawego pojazdu i czekała. Serce podeszło jej do gardła.

- Przygotować się do startu!

Flaga poszła w górę, rozległ się huk pistoletu. Ann przyglądała się, jak Drew objął rękami kierownicę i położył nogę na pedale. Nagle, nieoczekiwanie, jego maszyna stanęła w płomieniach.

Drew! Ann zerwała się z miejsca i chciała krzyknąć, lecz paniczny strach ścisnął jej gardło. Była zdolna jedynie stać i patrzeć w przerażeniu. Ekipa techniczna pędziła w jego kierunku, również straż pożarna i pogotowie.

Czy nie żył? Boże, nie! Po chwili ujrzała go, bynajmniej nie na noszach, lecz gramolącego się z kabiny o własnych siłach.

- Dzięki Bogu - szepnęła Ann.

Tłum grzmiał i gwizdał na znak radości, podczas gdy dwaj mężczyźni dźwignęli Drew na ręce i zanieśli w kierunku hali.

Nic nie widząc przez łzy, Ann opadła na ławkę, przeświadczona, że zaraz zemdleje. Chyba musiała krzyknąć, bo stojący obok niej mężczyzna usiadł szybko obok i popatrzył na nią.

- Czy pani źle się czuje?

Nie mogła wykrztusić ani słowa. Nabrała głęboko powietrza, próbując odzyskać równowagę. Zamierające co chwila serce, coraz większy ucisk w żołądku, gwałtowne pulsowanie w skroniach i niemiły smak w ustach to typowe objawy paniki.

- Proszę pani, słyszy mnie pani?

- Bardzo proszę - wymamrotała - niech mnie pan zaprowadzi do tego kierowcy, który został ranny.

- Pani jest z nim?

Ann zdołała tylko kiwnąć głową.

- O Boże, już idziemy, zobaczymy, co da się zrobić.

Ann nigdy nie dowiedziała się, jak dotarła do Drew i jak znalazła się z nim sam na sam w zaciszu

samochodowej przyczepy stanowiącej prowizoryczną izbę chorych. Przypuszczała, że pewnie szef jego ekipy zajął się nią i zaprowadził do Drew. Teraz wiedziała jedynie, że stoi naprzeciwko niego, z oczami utkwionymi w jego podrapanym czole, zdziwiona wyjątkową bladością jego twarzy.

Mimo to, gdy zbliżył się ku niej, na jego ustach pojawił się uśmiech.

- Przykro mi, nie zrobiłem chyba najlepszego wrażenia. Nie tym chciałem się popisać. Może następnym razem wyjdzie mi lepiej. - Wyciągnął do niej rękę.

Ann uderzyła go po niej i cofnęła się o kilka kroków.

- Ann...?

- Nie waż się mnie dotykać!

- Na litość boską, Ann, nie patrz tak na mnie.

Spójrz, nic mi nie jest. To tylko lekki szok.

- Tak, to wszystko? - wybuchnęła histerycznym śmiechem, który zaraz zamienił się w szloch. - Tylko lekki szok! Jak możesz mówić o tym, jakby się nic nie stało? - Słyszała, że z każdym słowem mówi coraz głośniej, że wpada w histerię, ale nie dbała o to. - Czyż ty oszalał! Przecież mogłeś zginąć. I w imię czego!

- Hej, uspokój się. Wyolbrzymiasz to ponad miarę.

- Czyżby? Cudownie! Tylko wyobraź sobie, że tak się złożyło, że siedziałam na widowni i widziałam, jak twój samochód palił się jak pochodnia.

- A ty wyobraź sobie, że ja siedziałem właśnie w tym samochodzie i nic wielkiego się nie stało. Wypadki zdarzają się wszędzie.

Paniczny strach, jakiego doznała wcześniej, był niczym w porównaniu z tym, co przeżywała teraz. Czowała się znieważona, zaszokowana, nie mogła uwierzyć własnym uszom. Jak on mógł traktować coś, co mogło skończyć się prawdziwą katastrofą, tak niefrasobliwie? Jak mógł!

- Nie potrafisz się z tym pogodzić, prawda? -Jego głos zabrzmiał tak, jakby uszło z niego życie.

- Chyba nie.

- Nie potrafisz, czy nie chcesz?

Przenikliwe niebieskie oczy Drew zdawały się zaglądać do jej duszy. Uzbroiła się przeciwko ich magicznej sile.

- Chyba i jedno, i drugie.

- Rozumiem.

- Nie, raczej nie rozumiesz.

W jego policzku drgnął mięsień.

- Gdybym przypuszczał, że może wydarzyć się coś takiego, nigdy nie nalegałbym, żebyś ze mną przyjechała. Ponieważ jednak nie możemy przewidzieć przyszłości, musimy godzić się na to, co nas spotyka i iść do przodu. Uważam, że życie to tak czy inaczej wielki hazard.

- Nie dla mnie.

Drew uśmiechnął się zimno.

- Coś, co nie jest bezpieczne, dla ciebie nie istnieje, tak?

- To, co ja czuję lub myślę, nie ma tu nic do rzeczy - odparła Ann.

- Ależ ma. Wiesz, jest takie słowo, które bardzo pasuje do ciebie: tchórz. Jesteś tchórzem, Ann.

- To nieprawda! - zaprotestowała.

- Owszem, prawda. Myśl o ryzyku całkowicie poraża cię. - Oczy Drew pały gniewem. - Boisz się.

W jej głowie zadźwięczał dzwonek alarmowy. Ann jednak nie zważała na nic. Miała do wyboru: albo wyrzyczyć te słowa, które uwięzły jej w gardle, albo udusić się od nich.

- Nie boję się ryzyka, które ma jakąś wartość. Nie boję się zobowiązań dotyczących ważnych spraw życiowych.

Zapanowała martwa cisza. Oboje zdawali sobie sprawę z delikatności sytuacji. Każde słowo, każdy gest, nabierały ogromnej wagi.

- Myślisz, że się nam nie uda? - spytał Drew bezbarwnym tonem.

Ann czuła w uszach pulsowanie krwi.

- Nie uda się, jeśli nie będziesz tego chciał - wyszeptała.

Jego twarz zastygła w napięciu, nie odezwał się ani słowem. Ann poczuła, że robi się jej zimno. -

- Ja tego chcę, tak, chcę - powiedziała czując, że coś w niej pęka. - Ale jestem chciwa. Chcę wszystkiego, chcę mieć dom, dzieci, ale najbardziej ze wszystkiego męża, który jest prawdziwym mężczyzną, a nie rozpieszczonym chłopcem kochającym ryzyko.

Twarcą Drew stężała, po czym skrzywiła się w gorzkim uśmiechu.

- W takim razie chyba najlepiej będzie, jeśli wrócisz do tego bezpiecznego, nudnego świata, w którym nie ma miejsca na zmiany i przygody. Jeśli o mnie chodzi, wszystko mi jedno.

Ann zachwiała się.

- Mój menedżer odwiezie cię do domu.

Przyczepa aż zadrżała od nagłego trzaśnięcia drzwiami. Strach, przerażenie, jakich doświadczyła tak niedawno, nie dały się w żaden sposób porównać z tym, co czuła w tej chwili.

Czy to już koniec? Czy on odszedł na zawsze? Gorycz ścisnęła jej gardło, gdy stała niezdolna się poruszyć i widziała, jak jej marzenia i nadzieje rozwiewają się w pył. Zawsze chciałaś tego, czego nie mogłaś mieć, drwił z niej głos wewnętrzny.

- Nie...! -Przeszyła ją kolejna fala dręczącego bólu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Na pewno nic ci nie jest?

Drew rzeczywiście był chory, nie miał jednak zamiaru przyznawać się do tego. Spojrzał na swojego asystenta.

- Przecież już ci powiedziałem, psiakrew, że nie.

- Owszem, powiedziałeś. - Skip podrapał się w głowę. - Coś cię bardzo wyprowadziło z równowagi, to pewne. - Przerwał. - Chyba nie twoja matka, co?

Twarz Drew nieco się odprężyła.

- Nie, na szczęście czuje się dobrze.

- To dobra wiadomość. Ja też mam parę niezłych nowin.

- Mów.

- Jeśli nadal zależy ci na tej posiadłości, jest twoja.

- Zależy mi - powiedział Drew bez wielkiego entuzjazmu, czym wywołał kolejne zdziwione spojrzenie Skipa. Nie zważając jednak na to, mówił dalej:

- Wobec tego ruszaj i zabieraj się do całej tej papierkowej roboty.

- W porządku. - Skip skierował się w stronę drzwi. - Aha, zapomniałem. Hal Ackerman dzwonił przed chwilą. Właśnie do ciebie jedzie.

- W samą porę - mruknął Drew pod nosem.

- Powiedz Wendy, żeby go od razu wpuściła.

Kiedy Drew został już sam w gabinecie, podniósł się z fotela i podszedł do okna ciężkim krokiem, jakby był starym człowiekiem.

Oznajmił Ann, że jest mu wszystko jedno. Uśmiech-

nał się szyderczo. Wspaniałe zakończenie. Było mu wszystko jedno, w porządku, tylko nie zorientował się w porę, że już na to za późno.

Chociaż często przemierzał autostradę z Houston do MacMillan, to jednak większość czasu spędzał tutaj, w biurze. Interesy już od dłuższego czasu toczyły się bez jego udziału. Toteż gdy matka doszła już do siebie, a on uporządkował nieco sprawy ojca, poza aferą Tima Pollarda, poczuł się na tyle wolny, by móc skupić się na swej własnej firmie.

Albo tak mu się wydawało. Zmarszczył czoło, usłyszawszy, że za jego plecami otworzyły się drzwi. Odwrócił się i ujrzał księgowego przestępującego przez próg.

- Twoja sekretarka powiedziała mi, że mam wejść
 - powiedział Hal zamiast powitania.
 - Napijesz się kawy? - spytał Drew.
 - Właśnie wypilem, dziękuję. - Hall przyjrzał się mu uważnie. - Jesteś chory?
 - Co jest, psiakrew! Najpierw Skip, a teraz ty. Nie, do cholery, nie jestem chory.
 - Uspokój się, przecież nie miałem nic złego na myśli. Spytałem po prostu dlatego, że wyglądasz naprawdę okropnie.
 - Może już dasz temu spokój, dobrze?
 - Jak sobie życzysz - Hal wzruszył ramionami.
 - No, a teraz mi powiedz, do czego doszedłeś.
 - Drew przysiadł na skraju biurka.
- Hal wprawił swe potężne ciało w ruch. Teczkę postawił na podłodze.
- Znalazłem dowody.
 - Takie, które przygwożdżą tego łajdaka?
 - Nie wywinie się od więzienia.
 - To dobrze.
 - To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

Drew uniósł brwi.

- A co, twoim zdaniem, mam powiedzieć?
- Skąd mam wiedzieć? - odparł ponuro Hal.
- Krzycz alleluja albo jeszcze lepiej wskocz na biurko, co? - Próba wzbudzenia dobrego nastroju trafiła na mało podatny grunt, zwłaszcza gdy Drew podszedł do okna i wyrżał na zewnątrz. - Po prostu okaż jakieś uczucia - dodał Hal.

Jak mogę okazać jakiegokolwiek uczucia, jeśli jestem martwy w środku? Drew popadł w zadumę. Ann, słodka Ann. To był najwspanialszy dar losu, jaki mu się zdarzył, a on pozwolił jej odejść.

Tęsknił za nią, tęsknił za jej nagim ciałem, pragnął całować jej cudowny brzuch, czuć jej piersi na swym policzku, słyszeć jej słodkie mruczenie.

Jej obraz pojawił się przed jego oczami z taką wyrazistością, że z wielkim trudem zdołał zebrać myśli i skupić się, gdy Hal podszedł do niego z arkuszem papieru, wypełnionym szeregiem cyfr.

- Oto dowód - powiedział.
- Nie mylisz się? - Drew spojrział na Hala.
- Nie. Kwity nie zgadzają się z depozytami.
- Czyli ten mały cwaniak wsadzał sobie różnicę do kieszeni.

- Przy aktywnej pomocy swojej lubej z banku.
- Poczekaj, daj mi pomyśleć. Czyli Pollard brał sobie pieniądze, a ponieważ był człowiekiem zaufanym, nigdy nie został przyłapany na kradzieży.

- Można by to tak ująć - zauważył Hal.

Drew złożył kartkę papieru i wsunął ją do kieszeni koszuli.

- Czy potrzebuję jeszcze czegoś, żeby iść na policję?
- Nie, to wystarczy.
- Od samego początku wiedziałem, że na tobie można polegać, przyjacielu.

- Czy to ma być komplement? - spytał Hal od drzwi.

Drew uśmiechnął się.

- Tak. Wykonałeś kawał dobrej roboty. Dzięki.

- Nie ma za co - odpowiedział Hal i wyszedł.

Drew nie miał ochoty iść do domu, nie znał jednak żadnego innego miejsca, gdzie mógłby się podziać. Zrobił więc rundkę po barach, lecz alkohol nie pomógł mu zagłuszyć tęsknoty. Raczej ją tylko wzmógł.

Była dwunasta w nocy, a na dworze lało jak z cebra. Siedział w biurze tak długo, aż doszedł do siebie na tyle, że mógł prowadzić samochód.

Gdy znalazł się w domu, znowu, tak jak się spodziewał, owładnęło nim wręcz rozpaczliwe pragnienie, by ją zobaczyć, wziąć za rękę. Chciał znowu poczuć jej ramiona wokół szyi, smakować jej ciepłe, zachłanne usta, patrzeć na jej doskonałe ciało.

Z trudem dotarł do sypialni, szybko się rozebrał i opadł na łóżko. Noce wyczerpywały go najbardziej. Samotność stawała się wtedy nie do zniesienia.

Jak mógł ją kochać i nie domyślać się tego? Przypuszczał, że tak bardzo się bał, by się w niej nie zakochać, iż nie zauważył nawet symptomów. Powiedział sobie, że skoro ona nie potrafi kochać go takim, jakim jest, lepiej skończyć tę znajomość. I lepiej dojść do takiego wniosku teraz niż później.

Mógł teraz spokojnie przystąpić do budowania swojego życia na nowo. Nadal miał przecież to, co było dla niego tak ważne - pracę i wyścigi. Da sobie radę.

Nieprawda. Czuł się fatalnie.

Kochał ją tak mocno, że jego życie uległo zmianie. Podczas gdy kiedyś każdy nowy dzień przynosił

wyzwanie i radość, teraz stanowił tylko ciężkie brzemie. Wszystko wokół straciło barwę.

- Ann - wyszeptał z twarzą wtuloną w poduszkę.
-Ann.

Odwrócił się na plecy, zacisnął mocno oczy i po-
grzążył w bólu. Przypomnił sobie znowu to, co mu
powiedziała: „Nie boję się ryzyka, które ma jakąś
wartość. Nie obawiam się zobowiązań dotyczących
ważnych spraw życiowych”. Drew wiedział teraz,
z niewzruszoną pewnością, że dłużej już nie da rady.
Musi ją odzyskać.

Powinam się cieszyć, przekonywała samą siebie
Ann. Jej życie toczyło się dokładnie tak, jak za-
planowała. Tylko że tymczasem nastąpiło coś nie-
oczekiwanego. Wtedy, kiedy je sobie projektowała,
Drew nie miał w nim miejsca.

Zamierzała rozbudować swój salon, zatrudnić jeszcze
jedną kosmetyczkę i poszerzyć usługi o fachową
pielęgnację skóry. I choć nie uwzględniała w swych
planach ponownego pojawienia się brata, cieszyła się
teraz z tego, zwłaszcza że poddał się kuracji i bardzo
się starał zostać uczciwym człowiekiem.

Jednakże cały entuzjazm wygasł. Gdy Drew odszedł
z jej życia, zabrał ze sobą radość.

Nawet w tej chwili, gdy czekała, aż Dorothy Sable
wyciągnie ze swej teczki plik papierów do podpisania,
nie potrafiła się cieszyć. Mimo to Ann pragnęła tego
dziecka w dalszym ciągu, może nawet bardziej niż do
tej pory. Stało się ono celem jej życia; było wszystkim,
co jej zostało, kimś, kogo mogła kochać i kto będzie
ją kochał.

Jednakże dziecko nie zapełni całkowicie tej pustki,
która ją wypełnia. To mógł uczynić jedynie Drew.
Czy to naprawdę dopiero trzy tygodnie minęły od

dnia, w którym się rozstali? Miała wrażenie, że co najmniej trzy lata. Nie pamiętała już, kiedy udało jej się przespać całą noc spokojnie.

Sny burzyły spokój jej nocy. Często były kolorowe, erotyczne, związane z nim. Niekiedy budziła się, siadała na łóżku, zdyszana i wilgotna od potu, przekonana, że Drew leży obok, by po chwili z rozpaczą stwierdzić, że to nieprawda.

Sophie najtrafniej podsumowała jej stan.

- Jeśli nie zaczniesz jeść, wyschniesz i znikniesz. Wyglądasz jak żywy trup.

- Staram się, naprawdę - powiedziała Ann.

- Wcale się nie starasz. - Sophie dodała po chwili:

- Posłuchaj, wiem doskonale, że bardzo ci ciężko od czasu, kiedy Drew... ale nie możesz przecież wiecznie tak się gryźć.

- Wiem - powiedziała Ann przez łzy. - Wytrzymaj jeszcze trochę ze mną, dobrze?

- Jeśli chciałabyś się na kimś oprzeć - Sophie urwała na moment - to możesz na mnie liczyć.

- Dzięki, będę o tym pamiętać.

Rozmowa ta odbyła się tuż po rozstaniu, Ann jednak w dalszym ciągu nie była w stanie otworzyć się przed nikim i wylać swej gorczy, nawet przed Sophie.

- Ann?

Westchnęła głęboko i z wymuszonym uśmiechem odwróciła głowę.

- Przepraszam. Zamyśliłam się.

- Wydaje się pani rozdrażniona. - Dorothy sprawiała wrażenie zatroskanej. - Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Nie - zapewniła ją Ann pospiesznie i uśmiechnęła się szerzej. - Kłopoty w pracy, rozumie pani - dodała w nadziei, że Dorothy nie będzie już jej zadawać dalszych pytań.

I rzeczywiście. Przedstawicielka agencji odpowiedziała uśmiechem i orzekła:

- To bardzo dobrze, że ma pani pracę. Tak wiele kobiet, które czekają na dziecko, nie ma nic, czym mogłyby się zająć.

- Wprawdzie ja mam czym się zająć - powiedziała Ann łagodnie - ale to czekanie bardzo mnie wyczerpuje.

- Wiem, bardzo mi przykro.

- Jak długo będę musiała czekać?

Dorothy podniosła się z miejsca i spojrzała na Ann ze współczuciem.

- Bardzo bym chciała, żeby to było możliwe za rok albo dwa lata. Może za pół roku.

- Ten ostatni wariant nie jest chyba prawdopodobny, prawda? - spytała Ann ze smutkiem.

- Nie, ale niewykluczony. Bądźmy więc dobrej myśli, zgoda?

Ann skinęła głową i odprowadziła gościa do drzwi.

Dorothy wyciągnęła do niej rękę na pożegnanie.

- Proszę dbać o siebie. Zadzwoń do pani.

Deszcz uderzał o szyby. Ann odsunęła kołdrę i wyszła z łóżka. Nie czuła się wypoczęta, ponieważ jak zwykle nie zmrużyła nawet oka. Począpała do okna i lekko uchyliła żaluzje.

Zygzaki błyskawic przecinały niebo, po czym znowu zapadała ciemność, ta sama ciemność, która już na dobre zadomowiła się w jej duszy. Z ciężkim westchnieniem odwróciła się od okna i spojrzała na łóżko. Dziś był poniedziałek, czyli jej wolny dzień, ale i tak nie warto było kłaść się znowu.

Żeby tylko dostała to dziecko. Ale to przecież niczego nie rozwiąże, wiedziała o tym doskonale. Jedynie Drew mógł wypełnić pustkę w jej życiu.

Może Drew miał rację? Może rzeczywiście jest tchórzem? Nie, na pewno nie. Gotowa była przecież podjąć ryzyko samodzielnego wychowywania dziecka. No to czemu wobec tego nie dała szansy im obojgu? Czyżby bała się, że nie sprostą jego oczekiwaniom, nie zadowolą go? Ale jeśli nie spróbowała, to skąd mogła wiedzieć?

Czyżby myliła się, próbując go zmienić? Odpowiedź była jednoznaczna: tak. Jego lekkomyślność, lekceważenie pozornych świętości czyniły go właśnie kimś wyjątkowym, tym, kogo pokochała.

Otrząsnąwszy się, Ann podeszła do szafy. Wiedziała, co ma zrobić.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Burza minęła już wczoraj. Jezdnia przed samochodem lśniła jaskrawo w słońcu i rozgrzane, wilgotne powietrze było wprost nie do wytrzymania.

Bluzka Ann była mokra na plecach, ale to nie pogoda, to nerwy. Ann wciągnęła głęboko powietrze do płuc, uchyliła okienko i uruchomiła silnik. Znajdowała się niedaleko domu Drew w południowo-zachodniej części Houston. Spojrzała na zegarek. Była siódma wieczorem. Wyruszyła później niż zamierzała. Miała umówione dwie klientki, których nie mogła odwołać.

Wstąpiła też do firmy Drew, mając nadzieję, że może go tam zastanie, dowiedziała się jednak, że jest w domu i leczy się z grypy.

Była to elegancka, zamożna dzielnica. Z miejsca, gdzie zaparkowała, widziała całą posiadłość. Nigdzie żywego ducha.

Serce waliło jej tak mocno, że nie mogła się ruszyć. Potrzebowała trochę czasu, żeby dojść do siebie. Musiała spotkać się z Drew. Nie miała wyboru. Nie chciała bowiem spędzić już ani jednego dnia dłużej bez niego. Nie wiedziała, co zrobi, jeśli on ją odtrąci.

Wysiadła z samochodu. Upewniła się, czy jej jedwabna niebieska bluzka i spodnie nie są za bardzo wymięte. Chciała wyglądać jak najlepiej. Tak wiele od tego zależało.

Gdy doszła do drzwi wejściowych, odzyskała już

spokój. To, co zamierzała zrobić, było słuszne; przekonanie o tym dało jej siłę, dzięki której zdolna była nacisnąć dzwonek.

Nikt nie odpowiedział. Zadzwoiła jeszcze raz.

Do jej uszu doszedł wreszcie odgłos ciężkich kroków. Ścisnęła w rękę torebkę i czekała.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Drew. Na jego twarzy pojawiły się nowe bruzdy, które uwydatniały jej wymizerowanie. Wyszczupłał. Oczy jednak nie zmieniły się wcale, ale zniknęły te diabelskie isierki.

- Ty...? - Jego twarz wyrażała zdumienie. I coś jeszcze, czego jednak Ann nie potrafiła rozszyfrować.

Gdy w surowym grymasie zacisnął usta, Ann zeszytniała. O Boże, on wcale się nie ucieszył na jej widok. Zrobiła błąd. Czuła, że jej serce rozpada się na kawałki.

Jęknęła, po czym cofnęła się kilka kroków. W tym momencie z twarzy Drew zniknął ten surowy wyraz, a jego miejsce zajął prawdziwy ból. Ann zawahała się.

- Nie odchodź - powiedział zmieszany i szeroko rozłożył ramiona.

Ann rzuciła się ku niemu i przytuliła do jego piersi.

- Och, Drew, przytul mnie.

Uściskał ją jeszcze mocniej, rozkoszując się tą chwilą i wyobrażając sobie, że umarł i jest w niebie.

- Kocham cię, kocham cię - szeptał. - Miałem ci to powiedzieć, tylko się rozchorowałem.

Ann uniosła twarz.

- Dlatego tu jestem. Ja też cię kocham i nie mogłam już znieść myśli, że miałabym żyć bez ciebie choćby jeden dzień dłużej.

Jego usta szukały jej ust w gorącym podnieceniu.

- To za mało - powiedział w zapamiętaniu. - Chcę cię całą. Zaraz.

Ann nic nie mówiąc ujęła jego dłoń i położyła ją sobie na piersi. Drew poprowadził ją do sypialni.

W popołudniowym słońcu, które sączyło się do pokoju przez żaluzje, Ann i Drew zerwali z siebie w pośpiechu ubrania, a gdy zostali zupełnie nacy, wyciągnęli ku sobie nawzajem ramiona.

- Marzyłem o tej chwili - wyszeptał Drew przyciskając swe wargi do jej ust. - Nie wierzyłem jednak, że kiedykolwiek nastąpi.

- Tak bardzo mi ciebie brakowało, tak bardzo.
- W jej głosie była i ekstaza, i cierpienie.
- Wyjdź za mnie.
- Ann zamruczała rozkosznie, co tak bardzo lubił.
- Kiedy tylko chcesz.
- Jutro.
- A twoja matka? - Jej oczy były zamknięte, ale usta zmysłowo rozchylone.

Palce Drew delikatnie dotknęły jej piersi.

- Co masz na myśli?
- Czy... czy nie powinniśmy jej powiedzieć? I Sophie? Może też Peterowi?

Drew pieścił łagodnie jej szyję.

- Pod warunkiem, że jutro będą mieli czas.
- Ann jęknęła i opadła na jego pierś.
- Po co ten pośpiech? Obiecuję, że cię nie opuszczę.
- Jej język przesunął się powoli po jego piersi.
- Oboje płonęli.
- Nigdy - dodała drżąc na całym ciele.
- Nic już nie mów - powiedział Drew ochryplym głosem i przewrócił ją na łóżko.

Gdy Ann otworzyła oczy, próbowała się ruszyć. Nie mogła jednak. Ich ciała nadal były splecione ze sobą.

- Halo, obudź się - szepnęła.

- Mmmm, ja wcale nie śpię.
 - Czy wybaczysz mi?
 - Co takiego?
 - Że próbowałam cię zmienić. Obiecuję, że kiedy będziesz na torze, ja... będę silna.

- Och, dziecinko - powiedział przyciskając ją mocno do piersi i kołysząc. - Jesteś wyjątkowa.

- Już wolę cię mieć chociaż jeden dzień niż nie mieć cię w ogóle.

- Mamy przed sobą mnóstwo dni. Czy naprawdę myślisz, że mógłbym zrobić coś, co naraziłoby to na niebezpieczeństwo?

- Mam nadzieję, że nie.

- Możesz na mnie polegać. - Oczy Drew zwięzły się w nagłym bólu. - To ja powinienem prosić o wybaczenie za to, że byłem taki uparty i nieustępliwy. Przecież każdy miałby prawo zareagować w ten sam sposób co ty.

- Ale następnym razem się poprawię - obiecała.

- Bądź sobą, kochanie.

- Nawet wtedy, kiedy się irytuję?

- Nawet kiedy się irytujesz.

- Och, Drew.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Przez dłuższą chwilę trzymał ją w objęciach, a potem powiedział:

- Jeśli chcesz nadal starać się o adopcję, nie będę się sprzeciwiał.

Jego słowa rozległy się w ciszy jak szmer wiosennego deszczu pośród kwiatów. Ann uściśnęła go mocno, potem odchyliła się do tyłu i spojrzała mu w oczy.

- Dziękuję ci. Chcę, żebyś wiedział, że kocham cię jeszcze bardziej za to, co powiedziałaś.

- A może pomyślelibyśmy o własnym dziecku
- szepnął stłumionym głosem.

Mokrą od łez twarz Ann rozjaśnił cudowny,
promienny uśmiech.

- O niczym innym nie marzę - szepnęła.
- Drew jęknął i przykrył ją swym ciałem.

scan-dalouis

EPILOG

Ann wołała się uszczypnąć, żeby sprawdzić, czy to wszystko nie jest snem. Nie, ona wcale nie śniła, czuła się wyśmienicie i była w ciąży.

Będzie miała dziecko!

Po wizycie u lekarza ruszyła prosto do domu. Ale choć minęła już godzina, jej stopy nie dotknęły jeszcze jego progę. Ann spacerowała w uniesieniu po okolicy i zastanawiała się, jaka będzie reakcja Drew? Miała nadzieję i modliła się o to, by był tak samo szczęśliwy jak ona. Nie miała powodu, by obawiać się czego innego, albowiem ich małżeństwo nie mogło chyba być bardziej doskonałe. Poza tym przed ślubem mówił jej przecież, że chce mieć z nią dziecko.

Nie można powiedzieć, by od tego szczęśliwego dnia, gdy się pobrali, nie zdarzyły się między nimi różnice zdań i spory. Ponieważ jednak bardzo się kochali, rozwiązywali je wspólnie.

Zawodowe życie obojga toczyło się dalej z powodzeniem, co częściowo wyjaśniało tajemnicę ich pomyślności. Przy pomocy Drew Ann rozbudowała swój salon. Interes wprost nie mógł iść lepiej.

Również firma Drew przeżywała prawdziwy rozkwit, mimo że sprawami bieżącymi w coraz większej mierze zajmował się jego asystent.

I chociaż Drew dalej brał udział w wyścigach, jego namiętność do nich osłabła nieco również z tego powodu, że interesy rodzinne zajmowały mu większość

czasu. Ponieważ najwięcej działa się właśnie w MacMillan, postanowili w nim pozostać.

Tim Pollard przyznał się do winy i trafił do więzienia. Gdy wiadomość o tym rozniosła się, całe miasto zatrzęsło się od plotek, wkrótce jednak znudzeni tym skandalem mieszkańcy MacMillan zaczęli rozglądać się za jakimś nowym źródłem sensacji.

Na szczęście nie stał się nim brat Ann. Terapia pomogła mu wręcz nieprawdopodobnie. Pracował bardzo sumiennie i wkrótce spłacił cały swój dług z dawnych czasów. Nauczył się też szacunku dla samego siebie.

Ann doprawdy nie mogła narzekać. Uważała, że zasłużyła na swoje szczęście. A w tej chwili czuła się jeszcze szczęśliwsza, wiedząc, że w jej wnętrzu rosła maleńka istotka.

Drew chciał wybudować dla niej nowy dom, ona jednak wołała, by zamieszkali tutaj, przynajmniej na razie. Poza tym bardzo kochała ten okazały, stary dom i jego wystrój i z prawdziwą przyjemnością starała się pozostawić na nim również swoje piętno.

W dwa miesiące po ich ślubie matka Drew rozchorowała się i nie wstawała już z łóżka. Wraz ze swą opiekunką zajmowała własny apartament na tyłach domu.

Lampki na choince mrugały w jej stronę. Ann roześmiała się na głos i dotknęła ręką brzucha. Dziecko. Co za wspaniały prezent na gwiazdkę.

Niedługo Drew przyjdzie na obiad. W każdy poniedziałek zjawiał się w domu w południe. Był to czas przeznaczony wyłącznie dla nich: niekiedy jedli razem lunch, a nierzadko po prostu się kochali.

Popędziła do sypialni i przebrała się w luźne spodnie i bluzkę.

Wkrótce potem stała już w kuchni i przygotowywała sałatę, nucąc coś sobie pod nosem.

-Puh!

Serce podskoczyło jej do gardła, po chwili jednak uspokoiło się, gdy poczuła uścisk znajomych ramion.

Oparła się na piersi Drew i spojrzała na niego.

- To nieładnie tak zakradać się chyłkiem.

- Ale ty jesteś moją żoną - powiedział pieszcząc jej kark.

Ann odwróciła się do niego i patrząc mu w twarz stwierdziła:

- Jakoś nie widzę w tym logiki.

Drew pochylił się i pocałował ją namiętnie w usta.

- Mmm, co za rozkoszny smak.

- Ja mogę powiedzieć to samo.

W oczach Drew pojawiła się ta diabelska iskierka.

- Wobec tego może zadowolimy się sobą na obiad, co ty na to?

Ann udała przerażoną.

- Co za pomysł! I nie skosztować mojej wspaniałej sałaty? - Roześmiała się. - Nie ma mowy. Poza tym mam ci coś do powiedzenia.

- Tak? - Drew uwolnił ją z objęć, oparł się o szafkę i skrzyżowawszy ręce na piersi spojrzał na nią ciepło.

Ann zwilżyła usta.

- Byłam dzisiaj u lekarza.

- I co? - Drew wyprostował się.

- Jestem... w ciąży.

Zaległa cisza.

- Jesteś pewna?

- Tak... - odparła. - Czy... czy nie jesteś zmartwiony?

- Zmartwiony? Pewnie że nie. Czy można wyobrazić sobie coś piękniejszego niż to, że nosisz w sobie nasze dziecko?

- Och, Drew - wykrzyknęła Ann, obejmując go za szyję i mocno do siebie przyciskając.

Drew uniósł ją do góry i obrócił się wraz z nią wkoło kilka razy. Kiedy postawił ją na ziemi, spojrzał na nią poważnie.

- Czy wobec tego nie powinnaś zrezygnować z tamtej sprawy?

- Nie rozumiem - odpowiedziała Ann ze zdziwieniem w oczach.

- Mam na myśli adopcję.

Ann otworzyła usta.

- Ojej, masz rację.

Drew zaśmiał się cicho.

- Skoro mamy mieć własne dziecko, chyba powinnaś pomyśleć o wycofaniu papierów z agencji.

- Jutro... - Dzwonek telefonu przerwał jej w pół słowa.

- W samą porę - stęknął Drew.

Ann roześmiała się i podeszła do telefonu. Podniosła słuchawkę, skinęła na Drew i położyła sobie jego rękę na brzuchu.

W jego oczach rozpalił się błysk pożądania.

- Halo - powiedziała Ann, czując słabość w kolanach.

W miarę jak słuchała, jej twarz stawała się coraz bledsza.

- Kochanie, co ci jest? - spytał Drew.

Ann przykryła słuchawkę dłonią.

- To... to Dorothy Sable.

Drew pobladł.

- Ona... ona chce wiedzieć, czy możemy przyjechać i zabrać dwuletnią dziewczynkę... mówi, że może należeć do nas... jeśli chcemy.

Drew odchrząknął głośno.

- A czy chcemy?

- Chcemy? - szepnęła Ann patrząc wyczekująco na niego.

Na twarzy Drew pojawił się ten jego zuchwały, zawadiacki uśmiech. Dwoje dzieci. Do licha, czy może być coś wspanialszego?

scan-dalouis